

KAZIMIERZ KARDASZEWICZ

Generał brygady, emeryt.

Kilka wspomnień
z przeszłości

1929



KAZIMIERZ KARDASZEWICZ
Generał brygady, emeryt.

Kilka wspomnień z przeszłości

1 9 2 9



*Odbitka z „Nowin Lekarskich“ w Poznaniu
Rocznik XLI. Zeszyt 2—6. 1929.*

**Biblioteka Główna
WUM**

Nakładca: Dr. R. E. Matuszewski, Poznań, W. Garbary 40
Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.



www.dlibra.wum.edu.pl

Tu proverai si come sa di sale
Lo pane altrui, e com'è duro calle
Lo scendere e il salix per l'altrui scale.
Dante (Il. Paradiso, Can. XVII).

I.

Urodziłem się dnia 19/31 stycznia 1855 roku w mieście Ostrogu (na Wołyniu) z ojca Stanisława i matki Kamilli z Dębskich, Kardaszewiczów. Pierwsze wzmianki o tej rodzinie sięgają początku XVII wieku, — mianowicie w listach hetmana Stanisława Żółkiewskiego do króla Zygmunta III jest mowa o rotmistrzu Kardaszewicu, który brał udział w rokoszu wojskowym 1615 r. W kilkadziesiąt lat później Wawrzyniec Kardaszewicz był towarzyszem, a syn jego Gabryjel chorążym znaku pancernego. Wnuk zaś Franciszek w swoim testamencie z r. 1724 pisał: — „Synowie moi, aby byli wychowani w Boskiej bojaźni i posłuszeństwie dla ludzi, upraszam kochanej mojej Małżonki, aby im edukacją przyzwoitą dała. Jak dojdą do lat zupełnych, chciałbym, aby jeden z synów kochanych moich zapisał się do wojska, drugi niech pilnuje roli, a trzeci, życzyłbym sobie, aby na chwałę Pana Boga wstąpił do stanu duchownego. Ciało moje bez żadnej okazałości niech będzie pochowane“. Rodzina ta, chociaż szlachecka, pozostawała stale w bardzo miernym stanie i oprócz żołnierki żadnych innych urzędów i zaszczytów w Rzeczypospolitej nie piastowała. Jednakże dbałość o „przyzwoitą edukację“ dzieci, widocznie, przechodziła z pokolenia w pokolenie. Ojciec mój Stanisław, wyszedłszy z pod

feruly „dyrektorów“, po ukończeniu 16 lat życia, wstępuje wzorem owych czasów do „palestry“ i następnie zostaje urzędnikiem Sądu Powiatowego w Ostrogu, — a w latach późniejszych również sekretarzem Marszałka Powiatowego Szlachty, P. Ksawerego Jodki. Po powstaniu 1863 r., jako Polak, zostaje usunięty z urzędu. Poza pracą zawodową oddaje się z zamięłowaniem czytaniu dzieł, tyjących się historii i literatury polskiej, i zbiera pokaźną biblioteczkę domową, kolosalne księgi „Bibliografii“ Adama Jochera są jego nieodstępnyimi towarzyszami. W ciągu lat kilkunastu gromadzi materiały do historii miasta Ostroga i zachowuje od zniszczenia wiele dokumentów miejscowych, zupełnie dotąd nieznanych. Jako owoc dojrzały tej pracy, pozostawia przed śmiercią zupełnie wykończoną monografię miasta Ostroga¹⁾.

Również i po kądzieli w rodzinie sięgają wpływy dawnych czasów. Brat mojej babki, Feliks Drzewiński, był profesorem mineralogji i fizyki na Uniwersytecie Wileńskim i pozostawił po sobie kilkanaście dzieł naukowych, między któremi na szczególną uwagę zasługuje podręcznik pod tyt. „Początki Mineralogji“, wydany w Wilnie w r. 1816, który, jak powiada Bieliński²⁾, nie miał naówczas równego sobie w literaturze polskiej. Siostra mojej matki, Tekla Dębska, przyjaciółka Narcyzy Żmichowskiej, należała do grona tak zwanych „Entuzjastek“ i brała wielki udział w ruchu społecznym³⁾. W r. 1850 zamieszkała na stałe w domu moich rodziców, gdzie gromadziła dzieci rozmaitych rodzin i nauczała je

¹⁾ Dzieło to pod tytułem: „Dzieje dawniejsze miasta Ostroga. Materiały do Historji Wołynia“ — pod auspicjami historyków A. Jabłonowskiego i H. Mościckiego — wydałem w Krakowie w r. 1913.

²⁾ Józef Bieliński. Uniwersytet Wileński. Krak. 1899—1900.

³⁾ Listy Narcyzy Żmichowskiej do Tekli Dębskiej i innych osób. Wydał Henryk Kopia. Lwów, 1890.

w duchu narodowym. Pod jej kierunkiem stawiałem pierwsze kroki w niezmierzonej dziedzinie wiedzy. Pierwszemi książkami, jakie przeczytałem, były „Śpiewy Historyczne“ Niemcewicza, „Kmiotek“ — czasopismo wydawane przez D. K. Gregorowicza, i powiastki Anczyca. Atmosfera literacka, panująca w naszym domu, gromadziła w nim kółko ludzi, którzy dążyli do „ożywienia duszy i oświecenia pamięci“. Wszystko to wpływało bardzo dodatnio na podrastające młode pokolenie. Oboje rodzice dokładali wszelkich starań, aby swoim trzem synom, pomimo szczupłych środków materialnych, ułatwić dostęp do nauki i zabezpieczyć ich tym sposobem na dalszą drogę życia.

Pierwsze wrażenia mojego dzieciństwa były połączone z wypadkami wielkiego znaczenia w Warszawie, które zaczęły się w r. 1860, a skończyły się powstaniem 1863 r. Cały ten ruch był znany dokładnie w naszym domu, ponieważ ciotka Tekla Dębska była łącznikiem z Warszawą, a ojciec, z ramienia Rządu Narodowego, został mianowany naczelnikiem miasta Ostroga. Otrzymywaliśmy więc prasę podziemną, instrukcje i wskazówki, które były komunikowane dalej, gdzie należało. Pamiętam z tego czasu bardzo dokładnie fotografie „Pięciu Poległych“, które oglądałem po wiele razy. W samem mieście zaczęto nosić żałobę i kilkakrotnie śpiewano hymny narodowe w kościele podczas nabożeństwa. Wkrótce nastąpiły aresztowania uczestników tych manifestacyj, wśród których jedną z pierwszych była ciotka Tekla. Osadzono ją w areszcie przy policji — najprzód w Ostrogu, a potem przeniesiono do Dubna. Z wybuchem powstania więzienie w Ostrogu zaczęło się zapełniać osobami, aresztowanymi pośród partyj powstańczych, lub zabieranymi wprost w domach, jako podejrzane politycznie. W maju lub czerwcu 1863 r., o kilkanaście wiorst na zachód od Ostroga, w lasach pod wsią Derdką, nastąpiła potyczka niewielkiej partji powstańców z wojskiem

moskiewskiem, w czasie której zabito pięciu żołnierzy. Chowano ich potem z wielką paradą w Ostrogu, w pięciu wspaniałych trumnach, — przy wielkiem zbiegowisku wojska, popów, urzędników i miejscowej ludności rusińskiej. Niebawem utworzono komisję śledczą, w której rej wodzili Rożański i Sumniewicz. Był do niej wzywany i mój Ojciec, z wielką naszą trwogą, ale dla braku poszlak oczywistych jakoś udało mu się wyjść cało z tej niebezpiecznej sytuacji. Ciotkę po dwu latach więzienia również zwolniono. W parę lat potem wyjechała do Lwowa, gdzie wstąpiła do klasztoru P. P. Benedyktynek; — umarła w nim w r. 1886.

W owych czasach Ostrog, jak i inne miasta Wołyńia, był zupełnie polskiem miastem. Prawie wszyscy urzędnicy byli Polakami; — tylko naczelne stanowiska były objęte przez Rosjan prawdziwych, lub rzekomych: na czele policji stał horodniczy Kauczejew, na czele sądu — Rusin Kizimowicz, komenda inwalidów dowodził pułkownik Borowkow. W biurach po r. 1842 wszystkie akta były spisywane w języku rosyjskim, ale poza tem wszędzie panował język polski. Popi, prawie wyłącznie pochodzący ze szlachty polskiej, — dzieci i wnuki księży unickich, także używali języka polskiego. Jeden z nich, niejaki Piasecki, bywający u ojca mojego dla porad prawnych w swych interesach, zwykł był mawiać: — „Panie, u mnie tylko broda ruska, a serce polskie!“. W kościele farnym ostrogskim i w klasztorze O. O. Franciszkanów w Międzyrzeczu pod Ostrogiem, podczas odpustów dorocznych, bywały niezliczone rzesze chłopów Rusinów, którzy okazywali szczególne nabożeństwo do św. Antoniego. W cerkwiach nie zawsze bywało tak ludno. Sąsiad nasz protojerej Podwysocki, gdy przedzwoniono na „wieczernię“, posyłał swego pałamara do cerkwi, aby zobaczył, czy już zgromadzili się parafianie. Zazwyczaj wracał z oznajmieniem, że ludzi zebrało się bardzo mało. „A gdzie są inni?“ — „Zapewne

w kościele“. — „Idź, zobacz, kto tam jest“. Szedł pałamar i liczył winowajców, pomiędzy którymi często prezydowały „waszy doczki (córk), otcze Protojereju!“.

W r. 1860 i 1861 zjeżdżała do Ostroga wędrowna trupa aktorska, która dawała przedstawienia sztuk polskich. Afisze teatralne, naklejane na parkanach miejskich, dziwiły mię niepomierłą wielkością swoich liter, jakich nie spotykałem dotąd w żadnej książce.

Wszystko to zmieniło się radykalnie po powstaniu 1863 r. Urzędnicy Polacy zostali wydalen. Nie mając środków utrzymania na miejscu, wyemigrowali tłumnie z miasta, a niektórzy przyjęli posady rządowe w głębi Rosji — nawet w Turkiestanie. Na ich miejsce zaczęły przybywać wybiórki biurokracji rosyjskiej i inne podejrzane indywidua z gubernij czysto moskiewskich. Miejscowi Rusini, mający dobrą markę u rządu, również objęli posady po Polakach, klasztory katolickie uległy kasacji. Dla synów chłopskich z okolic miasta i powiatu w Ostrogu została założona bursa — w celu ich rusyfikacji. Do Ostroga zjechała wkrótce z Petersburga frejlina dworu, hrabianka Antonina Błudowa (córka ministra spraw wewnętrznych za czasów Mikołaja I), i założyła tu, w gmachu klasztoru kapucynów, „Bractwo S. S. Cyryla i Metodego“, przy którym powstała natychmiast szkoła z internatem dla córek popów z całego Wołynia, mająca za zadanie wychowywać w duchu prawdziwie rosyjskim („istinno ruskim“) przyszłe żony i matki spolonizowanego dotąd duchowieństwa prawosławnego. Błudowa osiadła na stałe w Ostrogu dla przypilnowania tych spraw i nabyła nawet majątek — wieś Bryków, którą usłużnie sprzedał jej, czy, jak powiadano, darował, hrabia Aleksander Tliński, wnuk senatora, porucznik lejbgwardji huzarów cesarskich.

W tych czasach krytycznych, w r. 1865, wstąpiłem do progimnazjum ostrogińskiego, jako uczeń klasy pierwszej. Jedyny nauczyciel Polak, Aleksan-

der Leniewicz, matematyk, został w krótkim czasie przeniesiony do Żytomierza na posadę inspektora Seminarjum Żydowskiego. Naukę religii, dotąd wykładaną po polsku, musieliśmy słuchać po rosyjsku. Ksiądz Teodor Klonowski, proboszcz miejscowy, został wydalony za to, że u jednego z uczniów znaleziono notatki jego wykładów w języku polskim. W liczbie nowych nauczycieli otrzymaliśmy historyka w osobie Niekrasowa, oficera topografa, który miewał wykłady w swoim wojskowym mundurze, przepasany szablą. Pienił się ze złości, gdy mówił z Polakami. W podręczniku Iłowajskiego, w tym miejscu, gdzie jest mowa o panowaniu Katarzyny II, kazał nam dopisywać ołówkiem następujące wyrazy: „kozacy humańscy wieszali szlachtę, księży i psów na jednej szubienicy — z napisem: Lach, ksiądz i sobaka, to wira jednaka“ — i nieodmiennie recytować je przy wydawaniu lekcji. Dla zneutralizowania zbyt wielkiej liczby Polaków w szkole, zaczęto przyjmować do niej zdolniejszych synów chłopskich z wyżej wspomnianej bursy, a także Czechów niedawno osiedlonych w powiecie dubieńskim, których rząd przedtem zmusił do przyjęcia prawosławia. Przy zapisywaniu chłopów rzecz odbywała się w następujący sposób: — „Jak nazwisko?“ — „Bednarski“. — „Jakiego wyznania?“ — „Prawosławny“. — „Co? Bednarski — i prawosławny! Nie Bednarski, a Bondarczuk!“ Staje przed obliczem registratora chłopak ze dworu księżnej Jabłonowskiej z Płużnego. „Jak nazwisko?“ — „Józefowicz“. — „Jakiego wyznania?“ — „Prawosławny“. — „Józefowicz — i prawosławny! Nie Józefowicz, a Juzepczuk!“¹⁾ W dni uroczystości cesarskich (rzecz dotąd niestychana), Polaków, czyli tak zwanych urzędowo „katolików“, prowadzono pod dozorem jednego z nauczycieli, do soboru prawo-

¹⁾ Z Bednarskim i Józefowiczem kolegowałem od lat najmłodszych. Józefowicz (czyli „Juzepczuk“) został później inżynierem.

sławnego — dla wysłuchania liturgji i następnie modłów o zdrowie członków domu panującego. Wszystkie te eksperymenty osiągały jednak w ogromnej większości wypadków skutek wręcz przeciwny zamierzeniom projektodawców. Nawet u malców I i II klasy „szczepionki“ te wywoływały reakcję i bunt wewnętrzny, które u ludzi tego pokolenia, w życiu dalszem, wytwarzały najskuteczniejszą zapórę przeciw inwazji fałszywych liberalizmów, czyto w postaci teorii Marksa, czy nauki Tołstoja o „nie-sprzeciwianiu się złu“, czy kosmopolitycznego „braterstwa ludów“ i t. d.

W r. 1870, po ukończeniu czterech klas w Ostrogu, przenieśliśmy się do Żytomierza — do klasy piątej gimnazjum klasycznego. I tu większość uczni składała się z Polaków. W liczbie nauczycieli pozostało tylko dwóch: Leopold Iskierski, matematyk i nauczyciel rysunków Sobkiewicz. System rusyfikacyjny w gimnazjum polegał na tem, że nie wolno było, pod grozą wydalenia ze szkoły, mówić po polsku i że forytowano Rosjan przez powiększanie im stopni, patrząc przytem przez palce na ich przewinienia; -- Polaków zaś, nawet zdolnych, usuwano w cień, kwalifikując ich postępy w nauce bardzo mierną oceną. Z tego powodu do klas wyższych przechodziło coraz mniej Polaków — a nawet ci, którzy już byli w klasie ósmej, nie wszyscy otrzymywali świadectwa „dojrzałości“; — musieli więc opuszczać gimnazjum i szukać chleba na bardzo podrzędnych stanowiskach, wcale nieodpowiednich ich wykształceniu. Medale złote otrzymywali wyłącznie Rosjanie. Było to celowem niedopuszczaniem zbyt wielkiej liczby Polaków do studjów na uniwersytetach i innych uczelniach wyższych. Szkolna młodzież polska owego czasu, po kilku latach tresury, miała już mowę cichą, a postać jako wąż wystygły: nie dawano więc powodu do jakichkolwiek głośniejszych historyj i tryumfów nieprzyjaciela; — nie było ich przynajmniej za mojego pobytu w gimnazjum, prawdopo-

dobnie dlatego, że na czele szkoły stał stosunkowo porządny dyrektor — ponury i mrukliwy Sorokin. Bali się go jak ognia nie tylko uczniowie, ale i nauczyciele — a nawet sam inspektor Michał Barski, z wielkim zamiłowaniem szpiegujący uczniów w dzień i w nocy, aby ich złapać na jakimkolwiek przekroczeniu.

II.

Po otrzymaniu patentu dojrzałości w czerwcu 1874 roku nastąpiła poważna chwila wyboru zawodu. Z porady i woli ojca miałem wstąpić na wydział lekarski uniwersytetu w Moskwie, aby uniknąć bliższego Kijowa, gdzie zapędy rasyfikatorskie szalały w całej mocy. Zawód lekarski obiecywał pewną niezależność egzystencji i prawdopodobieństwo kawałka chleba na każdym miejscu. W sierpniu stanąłem w Moskwie i zapisałem się do uniwersytetu. Wybór miejsca okazał się bardzo trafny. Ogromna i patriarchalna Moskwa, w przeciwieństwie do urzędowego i wojskowego Petersburga, posiadała jednocześnie cechy nie tylko stolicy, ale i głębokiej i spokojnej prowincji. Jej najstarszy uniwersytet, istniejący więcej niż stulecie (od 1755 r.), posiadał ustalone już tradycje naukowe i wydał wielu uczonych profesorów, którym nie mogły jeszcze dorównywać, za małymi wyjątkami, siły naukowe innych uniwersytetów — w Kijowie, Charkowie, a nawet i w Petersburgu. Po kasacie Uniwersytetu Wileńskiego młodzież polska garnała się najbardziej do Moskwy. Przed powstaniem 1863 r. liczba studentów Polaków na uniwersytecie moskiewskim dochodziła do 800 osób. Wypadki krajowe i represje rządu rozproszyły ich nagle i jednocześnie po szerokim świecie. W latach powojennych nanowo zaczęła się tu gromadzić nowa generacja młodzieży polskiej. W r. 1874, przy wstąpieniu mojem do uniwersytetu, liczba studentów Polaków na wszystkich wydziałach wynosiła około 150 osób. Pochodzili

z rozmaitych stron Polski: najwięcej z Litwy, potem z Wołynia, Podola i Ukrainy, — najmniej z Kongresówki. Większość studjowała medycynę.

Po kilku miesiącach pobytu w uniwersytecie zostałem powiadomiony przez specjalnego delegata o istnieniu tajnej organizacji studentów Polaków, mającej na celu podtrzymywanie ducha narodowego zapomocą wspólnych pogadanek i odczytów z dzieł historii i literatury polskiej, gromadzenie biblioteki z dzieł traktujących o tych rzeczach, — nakoniec wspieranie biedniejszych kolegów z obowiązujących składek miesięcznych i wogóle wzajemną pomoc we wszelkich wypadkach. Do tego stowarzyszenia, na mocy głosowania uczestników, zostałem przyjęty na członka. Na czele związku stał prezes Stanisław Czyrwiński, pochodzący z Litwy i kończący już wydział lekarski. Po nim nastąpił Stanisław Grudziński — rodem z Płocka. Raz na miesiąc, w rozmaitych stronach miasta, odbywały się posiedzenia kilkunastu „kółek“, składających się dla niepoznaki z małej liczby osób, od ośmiu do dziesięciu, którym przewodniczył „radny“, obowiązany wskazać dzień i miejsce każdego zgromadzenia członkom swojego kółka. Tu wpływały składki miesięczne i były referowane sprawy bieżące, oraz podawane wnioski. Po omówieniu i uzgodnieniu spraw na posiedzeniach kółek, „radni“ gromadzili się w miejscu wskazanem przez prezesa, aby złożyć mu sprawozdanie o tem, co zaszło na posiedzeniach kółek. Każde kółko na posiedzeniu miesięcznem wybierało coraz innego „radnego“ — na przyszły miesiąc, aby zacierać ślady konspiracji. Do związku należeli również nieliczni studenci szkoły technicznej i akademji leśnej. Biblioteka składała się ze stukilkudziesięciu tomów i zawierała po większej części dzieła historyczne, literackie i beletrystyczne, przeważnie wydane zagranicą i zabronione przez cenzurę. Mickiewicza czytywaliśmy w wydaniu paryskim. Biblioteka ta co kilka miesięcy wędrowała do mieszkania innego

studenta. Zgromadzenia i posiedzenia „patriotyczne“ odbywały się od czasu do czasu w obszerniejszych mieszkaniach zamożniejszych studentów — w postaci studenckich hulańek, z wielką ilością piwa (bo wódki nie pijaliśmy), wielką wrzawą i śpiewaniem, do czego wszyscy mieszkańcy Moskwy byli od lat niepamiętnych nie tylko przyzwyczajeni, ale uważali to za rzecz zupełnie naturalną. Po przeczytaniu referatu i zakończeniu dyskusji następowała część koncertowa. Przy brzęku szlanek, napełnionych piwem lub herbatą (w Moskwie herbatę piją w niezliczonych ilościach o każdej porze dnia i nocy), a sukursowanych kiełbasą, serem i bułkami, śpiewano chóralnie: „Tam na błoniu błyszczą kwiecie...“ — „Za Niemen hen precz...“ — „O gwiazdeczko, coś błyszczała...“ i t. d. Ponieważ podobne zgromadzenia naszych kolegów Moskali odbywały się podług znacznie wyższego diapazonu i kończyły się zazwyczaj zupełną utratą świadomości uczujących (co Moskale nazywają bardzo malowniczo — „do położenija riz“), którzy albo leżeli na pobojuwisku, albo czynili wielkie hałasy na ulicy po rozejściu się — w porównaniu więc z nimi Polacy wyglądali jak baranki i cieszyli się sławą u swoich gospodarzy, jako bardzo spokojni ludzie. Policja tolerowała te hałasy, po pierwsze, jako antidotum wszelkiej polityki, a po wtóre dlatego, że korporacja studentów moskiewskich w owych czasach jeszcze posiadała niezaprzeczone poważanie wśród miejscowej ludności i prawo „noli me tangere“. Sam generał gubernator moskiewski, książę Dołgorukow, przychylnie traktował studentów i bywał na wszelkich uroczystościach uniwersyteckich, chociaż z powodu podeszłego wieku drzemał przytem, siedząc w swoim czołowym fotelu. Rektorem był znany historyk Sergiusz Sołowjow, z którym każda władza musiała się także liczyć. Dopiero w kilka lat później, po wzmożeniu się ruchu socjalistycznego w Rosji — pod wpływem artykułów umieszczanych

w „Moskowskich Wiedomościach“, redagowanych przez M. Katkova, nastąpiło znane powszechnie wydarzenie, gdy rzeźnicy zamieszkujący dzielnicę „Ochotnyj Rjad“, napadli na kilkuset studentów, odprowadzających zesłańców politycznych, w czasie przewożenia ich przez Moskwę, i pobili ich dotkliwie do utraty przytomności. W czasach, o których piszę, ruch socjalistyczny wśród studentów moskiewskich zaledwie zaczynał kiełkować i w każdym razie ukrywał się jeszcze w podziemiach. Polacy nie brali w nim żadnego udziału, po pierwsze, ponieważ nie odpowiadał przekonaniom tej generacji młodzieży, a po wtóre, że stosunki z kolegami rosyjskimi ograniczały się do tak zwanej „czapkowej znajomości“. Oba koła były zamknięte w sobie.

Osobną grupę młodzieży stanowili Litwini. Było ich zaledwie kilkunastu. Przy wstąpieniu do uniwersytetu zastał już pewien rozdźwięk w obu grupach narodowych, chociaż jeszcze mało widoczny. Szeptano, że Litwini otrzymują jakieś tajemnicze stypendja rządowe i znajdują się w porozumieniu z redakcją „Moskiewskich Wiadomości“. Wszyscy pochodzili z Suwalszczyzny, Marjampolszczyzny i Kowieńszczyzny. Po ukończeniu uniwersytetu otrzymywali posady nauczycieli w gimnazjach rządowych w swoich miejscach rodzinnych. Przytem niektórzy z nich kończyli po dwa wydziały. Tak, na przykład, Jan Bassanowicz,¹⁾ po otrzymaniu patentu na wydziale filologicznym, wstąpił potem na medycynę i został lekarzem. Drugi Litwin, Wincenty Petter, bardzo wojowniczego usposobienia, po ukończeniu wydziału matematycznego wstąpił również na medycynę. Prawdopodobnie osoby te, jako wypróbowani działacze, pozostawały jak najdłużej w uniwersytecie, aby wpływać na nowowstępujących kolegów i werbować ich do swoich szeregów.

¹⁾ Znany działacz litewski, późniejszy redaktor „Auszry“. Umarł w Wilnie na wiosnę 1927 r.

Bo trzeba dodać, że nie wszyscy Litwini, pochodzący z wymienionych stron, sprzymierzali się z Bassanowiczem i jego kołem. Przeciwnie, należeli do koła polskiego i byli członkami tajemnej organizacji, do której zasadniczo „litwomaniów“ nie dopuszczano.

W liczbie studentów uniwersytetu znajdowało się również kilkudziesięciu Słowian bałkańskich: Bułgarów, Serbów i Czarnogórców, którzy na koszt rządu rosyjskiego otrzymywali wykształcenie wyższe, jako przyszli adherenci polityki moskiewskiej na półwyspie podległym Turcji. Między innymi, jako ukończony lekarz pracował w klinice chirurgicznej profesora Basowa Mołłow, późniejszy minister oświaty w niepodległej Bułgarii. W liczbie profesorów uniwersytetu był tylko jeden Polak, astronom obserwator Gromadzki, asystent profesora Bredichina. Po otrzymaniu emerytury przeniósł się on do Galicji i wstąpił tam do Zakonu Jezuitów w Chyrowie, gdzie życie zakończył. Również przy katedrze astronomji, po ukończeniu wydziału matematycznego, pozostał, jako asystent, Witold Ceraski z Mińszczyzny, który w czasie późniejszym, po śmierci prof. Bredichina, objął jego katedrę. Były prezes stowarzyszenia studentów Polaków, o którym wspomniałem wyżej, Stanisław Czyrwiński, w kilkanaście lat później otrzymał w Moskwie katedrę farmakologii na wydziale lekarskim. Ze swoich kolegów muszę tu wspomnieć także o Ryszardzie Błażejewskim, który będąc na pierwszym kursie, miał już lat 35. Był to powstaniec 1863 r. więziony w twierdzy Petropawłowskiej, a później zesłany na Syberję. Zwolniony po latach dziesięciu kończył przerwane dawniej studia. Jako stypendysta rządowy, po ukończeniu nauk otrzymał posadę w wojsku na samym krańcu Syberji — w Nikolsku Ussuryjskim, pod Władywostokiem. Tu w jednym pułku przesłużył lat dwadzieścia kilka i przed wojną japońską przeszedł na eme-

ryturę. Był powszechnie szanowany za wielką prawość i dobroć charakteru. Pozostał bezżenny; — wspomagał tylko swoją siostrę i jej dzieci, zamieszkałe w Ufie. Prawdopodobnie umarł w Warszawie. Oprócz Błażejewskiego był jeszcze inny student powstaniec, medyk Franciszek Guliński, lecz ten, jak się zdaje, w zesłaniu nie był. Spotykałem go później w Warszawie w uniformie weterana 1863 r. Umarł tam w r. 1925.

Wydział lekarski ukończyłem po latach pięciu, w czerwcu 1879 r. Jako amator filologii, oprócz medycyny studjowałem także na uniwersytecie języki nowożytne, mianowicie angielski i włoski, co mi się później bardzo przydało¹⁾. Już od drugiego roku pobytu w Moskwie otrzymywałem stypendjum rządowe, w kwocie 300 rubli rocznie, które uzyskałem bez trudności, równie jak i wielu innych Polaków, — ponieważ uniwersytet nie uprawiał żadnej polityki i względem Polaków represyj i ograniczeń nie uznawał. Za to stypendjum byłem obowiązany przesłużyć w ciągu lat sześciu na posadach cywilnych lub wojskowych, podług własnego wyboru. Ponieważ stypendystów służby cywilnej wysyłało zwykle do najdalszych prowincyj państwa, dokąd nikt nie życzył sobie jechać dobrowolnie, wybrałem służbę wojskową. W sierpniu 1879 r. zostałem mianowany młodszym lekarzem 47 ukraińskiego pułku piechoty, znajdującego się w Kamieńcu na Podolu. Równocześnie ze mną w Uniwersytecie Moskiewskim otrzymali dyplomy lekarskie następujący Polacy i Litwini: Jan Bassanowicz (Litwin), Ryszard Błażejewski, Bogusław Ceraski, Czesław Górski,

¹⁾ Odczuwałem wtedy brak stosownych podręczników w języku polskim. Dlatego później, kiedy mogłem temu podołać, napisałem komentarz do utworu K. Dickensa p. † : „A Christmas Carol“ — dla młodzieży uniwersyteckiej. Książka ta wyszła w Warszawie w r. 1921 i została polecona przez Min. W. R. i O. P. do użytku w szkołach polskich.

Stanisław Grudziński, Wiktor Hejbowicz, Jan Kudyrko (Litwin), Bronisław Kurowski, Józef Micewicz, Jan Modzelewski, Franciszek Mroczkowski, Kazimierz Pietkiewicz. Wincenty Petter (Litwin), Mikołaj Raczyński, Kazimierz Rutkowski, Wilhelm Sartorius, Rufin Skrodzki, Dawid Szablowski, Henryk Marcinowski i Adolf Walentynowicz.

III.

Służbę wojskową rozpocząłem w listopadzie 1879 r. w pułku piechoty, który należał do 12 dywizji i wchodził w skład XII korpusu, będącego pod dowództwem generała Piotra Wasznowskiego, późniejszego ministra wojny. Pułk ukraiński po roku został przetranslokowany do Braiłowa, a jeszcze później do Winnicy, gdzie osiadł we własnych nowozbudowanych koszarach. Miesiące letnie — od maja do września — corocznie przepędzaliśmy pod Międzybożem, we wspólnym kampanencie całej dywizji, wraz z artylerją i kawalerją. Przed ośmdziesiątą z górą laty (przed Targowicą) na tem samym miejscu widziano dywizję generała Tadeusza Kościuszki, należąca do korpusu W. P., z księciem Józefem Poniatowskim na czele. Obecnie naszą dywizją dowodził również Polak, rodem z Królestwa Polskiego, Alojzy, syn Kazimierza, Iranowski, żonaty z Polką, także z Kongresówki. Miał twarz i całą postać typowego polonusa. Niestety, należał do nowoczesnych targowiczian. Trzech swoich synów ochrzcił według obrządku prawosławnego i wychowywał następnie w Korpusie Paziów w Petersburgu. Widywaliśmy tych dorodnych młodzieńców, gdy w czasie wakacyj zjeżdżali corocznie do Międzyboża, do swoich rodziców, którzy mieszkali we wspaniałym zamku obronnym — niegdyś Sieniawskich i Czartoryskich.

Lekarze wojskowi w armji rosyjskiej posiadali rangi cywilne i z tego powodu właściwie nie należeli do korpusu oficerskiego. Pozostawali w zależ-

ności jedynie od dowódcy pułku i dlatego cieszyli się pewną niezawisłością, tem bardziej, że wszelkie instrukcje ściśle fachowe otrzymywali od wyższych władz lekarskich, t. j. od lekarza dywizji, korpusu i inspektora Okręgu Wojskowego. Czynności ich polegały na leczeniu chorych żołnierzy w szpitalach i ambulatorjach, także oficerów i ich rodzin, oraz dozorcze sanitarnym nad pożywieniem żołnierzy i zachowaniem warunków higienicznych w koszarach. Starszy lekarz pułkowy był właściwie „doradcą“ komendanta pułku w sprawach sanitarnych, ale porady jego nie miały mocy obowiązującej. Zazwyczaj, jeżeli dowódca pułku był człowiekiem rozumnym, a przytem pozostawał w dobrych stosunkach osobistych ze starszym lekarzem, to wszystko szło gładko i pomyślnie. W innych zaś warunkach trzeba było politykować i lawirować, zwłaszcza jeżeli chodziło o jakie znaczniejsze wydatki pieniężne. Młodszy lekarze mieli, poza spełnieniem obowiązków służbowych, mało kłopotu, ponieważ za wszystko odpowiadał lekarz starszy.

W armji rosyjskiej w owych czasach była jeszcze znaczna liczba lekarzy Polaków. Naprzykład, w samej naszej dywizji, składającej się z czterech pułków, mieliśmy ich około dziesięciu. Byli nimi: w pierwszym pułku Stanisław Sulicki, w drugim Rejcen i Alojzy Szuszkiewicz, w trzecim — starszy Marceł Sieradzki, młodszy — Konstanty Rybiński i Kazimierz Kardaszewicz, w czwartym — starszy Krzysztof Tołwiński, młodszy — Kosakowski. W kawalerji: w Archtyrskim huzarskim — starszy Podgórski, w Białogrodzkim ułańskim — młodszy Eugenjusz Kondracki. Lekarzem 12 dywizji piechoty był Jan Nowicki, naczelnym lekarzem XII korpusu — Józef Lewoniewski. Z nieznacznymi wyjątkami wszyscy bardzo dobrzy Polacy, którzy sumiennie i uczciwie spełniając swoje obowiązki, zachowali swoje dusze w absolutnej wolności. Cie-

szyli się też poważaniem swoich kolegów i przełożonych. Wymieniony wyżej Eugenjusz Kondracki, pochodzący z Płoskirowa na Podolu, brał czynny udział w powstaniu 1863 r. jako student Kijowski, za co był zesłany na Syberję. Po kilku latach, będąc zwolniony, udał się do Zurychu, gdzie otrzymał patent doktorski, potwierdzony później przez uniwersytet w Dorpacie. Podczas wojny tureckiej (1877—78) Kondrackiemu udało się wstąpić do armii i brać udział w pochodzie na Bałkany. Po ukończeniu wojny pozostał młodszym lekarzem w Białogrodzkim ułańskim pułku w Jarmolińcach. Generał brygady w naszej dywizji, Wiktor Budde, Niemiec, który mieszkał w Płoskirowie, widocznie dowiedział się o przeszłości Kondrackiego i jego obecnym stanowisku, czem się niesłychanie oburzył. Spotkawszy się więc z baronem Korffem, dowódcą ułanów białogrodzkich, zapytał go, czy to prawda, że w jego pułku znajduje się znany „buntowszczyk“ Kondracki, jako lekarz. Na co baron odpowiedział: „Tak jest w istocie. Doktor Kondracki uczynił nam ten zaszczyt, że zechciał z nami kolegować“. Był to człowiek bardzo uczony, niezłomnego charakteru — ogólnie szanowany. Umarł około roku 1900, jako starszy lekarz pułku rezerwy w Kamieńcu. Nic też dziwnego, że władze wojskowe lekarskie czuły moralny obowiązek popierania i posuwania lekarzy Polaków na wyższe stanowiska służbowe. Jak dotąd nic temu nie stawało na przeszkodzie. Jednakże po wstąpieniu na tron Aleksandra III i wzmożeniu się polityki reakcji i ucisku, mniej więcej około r. 1888, zaszedł w Okręgu Kijowskim następujący wypadek. Inspektor okręgowy Archipow przedstawił do Petersburga do awansu 16 lekarzy Polaków. Po niejakiem czasie otrzymał z Głównego Zarządu zapytanie, dlaczego i na jakiej podstawie to uczynił. Odpowiedź Inspektora Archipowa była bardzo lakoniczna: „Dlatego, że na to w zupełności zasługują“. Pomimo to nakazano mu na przyszłość Pola-

ków do awansu nie przedstawiać, a pozostawiać ich na najniższych stanowiskach.

W r. 1884, na mocy decyzji „Wojenno-Medycznego Uczonego Komitetu“, zostałem wezwany, w liczbie 56 lekarzy wojskowych z całej Rosji, do Petersburga na studia dwuletnie w Akademii Wojenno-Medycznej, — przyczem pozostawiono do wyboru chirurgję, albo choroby wewnętrzne i higienę. Wybrałem ostatnie. Przed wyjazdem ożeniłem się z panną Rozalją Zaorską, znaną mi od dzieciństwa, poczem wyruszyliśmy razem do Petersburga. Dwa lata oddawałem się pracy naukowej w klinikach Akademii, Instytucji Klinicznym W. Ks. Heleny Pawłowny i niektórych szpitalach miejskich. W liczbie kolegów było kilkunastu Polaków, znanych mi już dawniej, lub po raz pierwszy spotykanych, — mianowicie: dwaj bracia Opaccy, Juljusz i Michał, Józef Micewicz i Ryszard Błażejowski, znani z Moskwy, Jan Gosztowt, Jan Rąpczewski, Jungowski, Zawadzki, Paszkiewicz i kilku innych, nazwiska których wyszły mi z pamięci. Jedyną kliniką przy Akademii, na czele której stał Polak prof. Jan Mierzejewski, była klinika psychiatryczna i chorób nerwowych. Pracowali w niej, jako ordynatorzy, Polacy Alfons Erlicki i Daniłło. Poprzednikiem Mierzejewskiego był również Polak, syn historyka Michała Balińskiego, a wnuk Jędrzeja Śniadeckiego, Jan Baliński, tak zwany „Ojciec psychiatrii rosyjskiej“. W całej Akademii rej wodził prof. Sergjusz Botkin, którego klinika chorób wewnętrznych była niejako wylegarnią przyszłych profesorów całej Rosji. Co najgorsi otrzymywali zazwyczaj katedry na Uniwersytecie Warszawskim. Na uwagę czynioną Botkinowi, dlaczego popiera tak kompromitujące nominacje do Polski, odpowiadał: „Pust' g..., lisz by ruskoje!“

Lekarze wojskowi, którzy ukończyli przy Akademii pomienione kursy, zostawali kandydatami na wyższe stanowiska służbowe: starszych, dywizyj-

nych, korpusowych, naczelnych lekarzy szpitali i t. J. Wkrótce po powrocie do Winnicy, w r. 1886, nasz lekarz korpusowy Lewoniewski, widząc się ze mną, zapowiedział mi, że w ciągu najbliższego roku otrzymam awans na lekarza starszego. Podziękowałem mu za dobre mniemanie o mnie i czekałem cierpliwie, co nastąpi dalej. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. W parę lat później otrzymałem od przyjaznego mi lekarza wojskowego, zajmującego przy Zarządzie Okręgu Wojsk. Medycznego w Kijowie wysokie stanowisko sekretarza Naczelnego Inspektora Okręgu, list, w którym donosił mi poufnie, abym pozostawił wszelką nadzieję awansu na lekarza starszego, ponieważ Zarząd Główny w Petersburgu postanowił wyższych stanowisk lekarzom Polakom nie nadawać; — jeżeli więc obecne stanowisko w wojsku nie odpowiada moim życzeniom, to bez żadnej straty mogę podać się do dymisji. Ponieważ miałem praktykę w Winnicy i jej okolicach, postanowiłem służby nie porzucać, bo od przybytku głowa nie boli. W pułku cieszyłem się sympatją oficerów i miałem przyzwoite mieszkanie w koszarach, gdzie mogłem wygodnie pomieścić się z rodziną. A i towarzystwo miałem do wyboru. W Ukraińskim pułku było kilkunastu oficerów Polaków, o których zawsze zachowam miłe wspomnienie, jako o ludziach godnych szacunku.

Mianowicie: starszy lekarz Sieradzki, młodszy K. Rybiński, podpułkownicy Karol Zienkowiec i Niedźwiedzki; z młodzieży — porucznicy dwaj bracia Kociejewscy, Tytus Bilczyński, Gustaw Ostapowicz, Słabowski, Bystydzieński, Sochacki i kilku innych. Młodzież ta zwykle trzymała się razem i występowała solidarnie — wskutek czego od oficerów Rosjan otrzymała pół-ironiczny przydomek „kahała polskiego“. W swoim towarzystwie zawsze rozmawialiśmy po polsku.

Około roku 1890 do pułku przybył nowy dowódca, pułkownik Arsenjusz Kaszczenko, stary ka-

waler, który pijał tylko mleko i zbierał motyle z całego świata. Twarz miał zastygłą, mówił cichym głosem i zazwyczaj po odbytej konferencji, nawet służbowej, żegnał interlokutora słowami: „najniższe uszanowanie Panu“ („świdrietielstwuju Wa'm swojo niżajszeje pocztienje“). Kilka razy miałem zaszczyt otrzymać od niego to wyróżnienie. Miętko ścieślił, lecz pomimo to twardo było spać na jego legowisku. W jesieni 1890 r. (jak się dowiedziałem później) pułk. Kaszczenko w rocznej charakterystyce podwładnych, między innymi napisał, że lekarz Kardaszewicz jest politycznie niepewny („nieblahonadiożnyj“), ponieważ wychowuje swoje dzieci w polskim kierunku („w polskom duchie“)¹⁾. Kwalifikacja ta zwykłym porządkiem rzeczy miała powędrować do Petersburga przez wszystkie instancje lekarskie — pułku, dywizji, korpusu i Zarząd Okręgowy. Otóż w końcu grudnia otrzymałem depezę z Kijowa, od lekarza korpusu Wysokosowa, abym bez zwłoki stawił się u niego w sprawie urzędowej. Pojechałem natychmiast nocą i o 6 rano byłem już na dworcu kijowskim. Tu, nieoczekiwanie, spotkałem się z felczereim z kancelarii Wysokosowa, który oznajmił, że mam wprost udać się do prywatnego mieszkania tego dostojnika. Gdy przybyliśmy, spał jeszcze, ale obudziwszy się kazał czekać. Wyszedł wkrótce potem i po moim służbowym meldunku rzekł: „Czy wie Pan, co ten mierz... (wyrażenie napół cenzuralne) pułk. Kaszczenko napisał o Panu w swoim sprawozdaniu?“ — „O niczem nie wiem, Ekscelencjo“. — „Napisał to i to. Chociaż znam dobrze Pana, dla większej pewności zapytałem jeszcze o zdanie tak poważnych ludzi, jak dr. Tołwiński i dr. Podgórski: — ci w zupełności potwierdzili moje mniemanie o Panu. Nie można więc pozostawić tego świństwa w obecnym stanie rzeczy. Natychmiast jedziemy do Inspektora Okręgowego, któ-

¹⁾ Dzieci te miały wówczas 5, 3 i 1 rok.

remu zamelduję o tej sprawie i ułatwię audjencje Panu“. Tak się i stało. Pozostawiwszy mię w poczekalni, Wysokosow udał się do Inspektora (którym był Polak Adolf Giełtowski), poczem po konferencji z nim wyszedł i oznajmił mi, że Inspektor przyjmie mnie natychmiast. Dr. Giełtowski powiedział mi: „Po referacie lekarza korpusu sprawę znam, więc niema potrzeby dłużej o niej mówić; — jest rzeczą pewną, że ze względów służbowych nie może Pan pozostawać dalej w tym pułku. Otóż wszystkie miejsca wakujące w Okręgu są do wyboru Pana. Jakie Pan wskaże, na takie będzie Pan przeniesiony“. Podziękowawszy Inspektorowi za łaskawe względy, prosiłem go, aby pozostawił mnie w Winnicy, w której właśnie wakowała stosowna posada w artyleryjskich parkach — a to dla następujących powodów: w Winnicy wszyscy mię znają i mam już ustaloną praktykę; — w każdym innem miejscu będę musiał wyrabiać sobie opinię i w nowym pułku i wśród miejscowej ludności; — oprócz tego pułkownik Kaszczenko, podług regulaminu służbowego, obowiązany będzie przesłać dowódcy nowego pułku moją charakterystykę służbową, która zapewne nie będzie różniła się od tej, jaką już wydał. Trafiło to do przekonania Inspektora, który natychmiast przywołał sekretarza i kazał mu wystosować rozkaz, z datą tegoż dnia, o przeniesieniu lekarza Kardaszewicza z Ukraińskiego pułku piechoty do artyleryjskich parków, konsystujących w Winnicy — i natychmiast zawiadomić o tem wszystkie odnośne władze. Podziękowawszy moim wysokim protektorem, wracałem już do domu jako inna urzędowo osoba.

W pułku, gdy się dowiedziano o mojej translokacji, powstała niemała wrzawa. Dziwiono się, że po jedenastu latach służby jakieś tajemnicze powody skłoniły mnie do porzucenia pułku, rzecz, jednak, bez mojego w tem udziału, jakimiś nieznanymi drogami stała się powszechnie wiadoma. Dowiedziałem

się wkrótce, że oficerowie pułku zamierzają uczcić mnie pożegnalnym obiadem w kasynie pułkowym. Pomocnik dowódcy pułku, podpułkownik Murachin, udał się do generała brygady Prokope, mieszkającego także w Winnicy, aby mu zameldować o tym zamiarze oficerów i uzyskać jego zezwolenie. Generał nie tylko zezwolił, ale zapisał się natychmiast na czele listy uczestników. Uroczystość odbyła się 13 stycznia 1891 r. Stawił się gremjalnie cały pułk, nie wyłączając pułkownika Kaszczenki. Na jego prośbę, mowę pożegnalną wygłosił podpułk. Murachin. Po zakończeniu obiadu, około godziny czwartej, oficerowie pułku, z muzyką pułkową na czele, odprowadzili mnie do mojej nowej siedziby w koszarach parków, sąsiadujących z koszarami pułku. Nowy mój szef, pułk. Warszałowicz, którego znałem bardzo dobrze, niezmiernie się zadziwił, gdy wkrótce otrzymał pismo urzędowe od lekarza korpusu Wysokosowa z prośbą o jak najszybsze przysłanie kwalifikacyj nowego lekarza, ponieważ zbliża się ostateczny termin przedstawienia atestacyj służbowych do Petersburga. Gdy mię pytał, co to znaczy, odpowiedziałem mu, że może być spokojny, ponieważ lekarz korpusu, jeżeli tego żąda, ma widocznie prawo; — a co się tyczy mojej charakterystyki, to przecie zna mnie oddawna i może pisać bez skrupułu to, co o mnie myśli. Opowiadano mi później, że w Kijowie, po przeczytaniu tej nowej kwalifikacji pułk. Warszałowicza, twierdzono żartobliwie, że po proroku Eljaszu dopiero drugi człowiek — dr. Kardaszewicz — może żywcem dostać się do nieba. Kwalifikacji pułk. Kaszczenki skreślono głowę, ponieważ inna mogła zastąpić jej miejsce. Nie na tem jeszcze koniec! Po paru miesiącach tenże pułk. Warszałowicz otrzymał od Wysokosowa grzeczne zapytanie, czy nie uważałby za stosowne przedstawić dr. Kardaszewicza do orderu Ś. Anny. Pułkownik, otrząskany już z tego rodzaju procedur, zgodził się natychmiast; — w wyniku zosta-

łem udekorowany prędzej, niż to należało według porządku rzeczy, a wbrew intencjom pułk. Kaszczenki — w myśl starej maksymy, która czasem sprawdza się na świecie: magna est veritas et praevalerebit.

Mój antagonistą wkrótce został awansowany na generała i otrzymał stanowisko szefa sztabu XII korpusu, na którym, oczywiście, mógł bardzo wpływać na kierunek spraw i ich przyspieszenie. Otóż pewien generał prosił go o pomoc przy otrzymaniu jakiejś nominacji. Kaszczenko solennie przyrzekł poprzeć tę sprawę, lecz w rzeczywistości postąpił zupełnie inaczej: poprowadził akcję tak chytrze, że proszący nietylko nic nie zyskał, a wiele stracił. Wkrótce nadchodzi dzień Wielkiejnocy. Na urzędowym przyjęciu zbliża się generał Kaszczenko do owego poszkodowanego generała ze słowami: „Chrystos woskres!” — i zaczyna go wycalowywać. Generał, przyjąwszy zimno ten wylew uczuć, powiada: „Opozdali gienierał, śledowało Wam pridi w Wielikij Czetwierg cełowatsia“¹⁾ (t. j. w dzień, kiedy Judasz wydał Chrystusa).

Tak się skończyła moja sprawa w czasach bardzo niebezpiecznych, bo w czasach panowania Aleksandra III. Dr. Wysokosow przybył do okręgu stosunkowo niedawno z samej Moskwy i jak widać z jego czynów, nie należał do zgrai zaślepionych rusyfikatorów, od których roiło się wówczas w t. zw. „gubernjach zachodnich“.

IV.

W parkach artyleryjskich przesłużyłem około pięciu lat. W liczbie trzech rozlokowane w Winnicy, liczyły one po 70 — 80 żołnierzy w każdym. Służba ich polegała właściwie na utrzymywaniu w porządku i pilnowaniu jaszczów, uprząży i amunicji, umieszczonych w ogromnych magazynach i przema-

¹⁾ Spóźniliście się, generale, należało przyjść i całować się w Wielki Czwartek,

czonych na czas mobilizacji i wojny dla oddziałów wojskowych XII korpusu. Wszystkich oficerów było zaledwie kilkunastu. Miały tylko jednego wspólnego dla wszystkich lekarza. Służba więc moja w takich warunkach była o wiele lżejsza i spokojniejsza, aniżeli w pułku piechoty, liczącym około 100 oficerów i około 2 000 żołnierzy. Z wielkim żalem żegnałem po paru latach pułk. Warszawowicza, który otrzymał inne wyższe stanowisko. Był to człowiek bardzo uczciwy i bardzo szlachetny. Pochodził z dawnej rodziny unickiej. Z następcą jego pułk. Simanowskim, wielkim sybarytą, wywodzącym się z arystokracji dawnej kozaczyzny Siczowej, utrzymywałem stosunki wprawdzie poprawne, ale do pewnego stopnia dyplomatyczne.

Po śmierci Aleksandra III i wstąpieniu na tron Mikołaja II nastąpiło niejaki odprężenie dusznej atmosfery poprzedniego panowania i powstały nawet nadzieje na radykalną zmianę stosunków w polityce wewnętrznej Państwa. Jak dowiodły czasy następne, było to złudzeniem. W każdym razie chwilowo robiono nieśmiałe próby wkroczenia na inne tory. Zapewne z tej racji w lipcu 1895 r. otrzymałem niespodzianie, po 16 latach służby, nominację na starszego lekarza 1-go konnego pułku kozaków Zabajkalskich, konsystującego w Nikolsku-Ussuryjskim, pod Władywostokiem, w Syberji Wschodniej. W owym czasie kolej trans-syberyjska dochodziła zaledwie do Omska — o podróży więc lądowej z żoną i trojgiem dzieci (w wieku od 6 do 10 lat), na przestrzeni dziesięciu tysięcy wiorst, nie mogło być mowy. Wybraliśmy więc drogę morską — od Odesy do Władywostoku. Wyruszyliśmy 1 września na statku floty ochotniczej „Orle“, pod komendą kapitana Ptaczyńskiego, Polaka, oficera marynarki rosyjskiej. Po drodze statek zatrzymywał się w Konstantynopolu, Port-Saidzie, Suez, Adenie, Colombo, Singapurze i Nagasaki. Mieliśmy więc możliwość podziwiać cuda egzotyczne tych krain i na-

uczyć się więcej z własnych obserwacji, niż z przeczytania o tem wszystkim setki książek. Podróż trwała dni 44 i odbyła się bardzo szczęśliwie, pomimo zwykłych burz na morzach chińskich, które jednak omijaliśmy dlatego, że dziwnym trafem szalały przed nami, albo poza nami. 10 października, w czasie dwudniowego postoju w Nagasaki, obserwowaliśmy prześliczną letnią — niby czerwcową — pogodę, z masą kwiatów, szczególnie róż, w pełnym rozkwicie; — we cztery dni później zastaliśmy we Władywostoku śnieg, mróz i obraz pełnej zimy. Pozostawało jeszcze sto wiorst drogi, koleją żelazną, do Nikolska, miejsca pobytu pułku kozackiego. W następnym dniu ujrzelśmy to sławne miasto. Była to właściwie ogromna wieś, zaludniona przez bardzo zamożnych chłopów syberyjskich, mająca na jednym krańcu fortecę chińską z XII wieku, otoczoną wysokim ziemnym wałem, gdzie obecnie mieściły się sztab wojskowy, część garnizonu i szpital; na drugim zaś — osobną dzielnicę, w której zamieszkiwała kolonja chińska, składająca się z około 2 000 osób.

Dowódca pułku kozackiego, pułk. Putiłow, przyjął mnie bardzo uprzejmie. Pochodził z kozaków Siedmicrzecza Syberyjskiego i był z zawodu artylerzystą. Pomimo herkulesowej budowy i dość młodego wieku (miał czterdzieści parę lat) był hipochondrykiem: wiecznie mu coś dolegało. Dlatego dbał o swoje zdrowie nadzwyczajnie.¹⁾

Oficerowie pułku pochodzili w połowie z Burjatów i kozaków zabajkalskich, w połowie zaś z ofice-

1) W czasie objazdu pułku, co się odbywało zwykle porą zimową, ubierano go kolejno w palto, dachę i futro zwierzchnie, opasywano mocnym pasem, na nogi wdziewano kolosalne „walonki“ (buty filcowe), na głowę papachę. Po usadowieniu się na saniach okrywano go ogromną baranicą, we wszystkie szczeliny wtykano butelki z gotowaną wodą, bo innej nie pijał. Gdy wypadął z sań, co się zdarzało przy szybkiej syberyjskiej jeździe, nie mógł się podnieść o własnych siłach wskutek zatamowanych ruchów,

rów kawalerji regularnej, przysyłanych z Rosji — po większej części za jakieś przewinienia służbowe. Poznawszy ich bliżej, stanowczo oddawałem pierwszeństwo azjatom. Byli to ludzie, za małemi wyjątkami, prości, uprzejmi i bardzo gościnni. Sławny w czasach późniejszych generał Siemionow był wtedy młodym chłopakiem-chorążym i adjutantem pułku. Pułk składał się z sześciu sotni, z których dwie i sztab pułku stały w Nikolsku, a cztery inne były rozstawione wzdłuż granicy mandżurskiej. Kozacy szeregowi w połowie należeli do plemienia burjackiego i wyznawali lamaizm, czyli buddyzm. W czasie Nowego Roku burjackiego, który nazywa się Cagan-Sarà i który obchodzi się uroczyście, jednocześnie z chińskim, w ciągu trzech tygodni (w naszym styczniu), dowódcy sotni urządzali cały szereg przyjęć, zapraszając wszystkich oficerów, w celu uczczenia podwładnych i złożenia im życzeń. Niemala wtedy odbywała się pijatyka, która na tych dalekich kresach należy, niejako, do obowiązku każdego szanującego się człowieka. Miejscowi Chińczycy również bankietowali dni kilkanaście i oddawali się upragnionemu odpoczynkowi. Nie znają go prawie w ciągu reszty roku z powodu braku w ich kalendarzu naszych niedziel i innych świąt, z bardzo nielicznymi wyjątkami. Teatr, pochody ze smokiem i puszczanie ogni sztucznych należą do ich ulubionych rozrywek. O ile mogę sądzić z tego, co widziałem, sztuka pyrotechniczna u Chińczyków stoi na bardzo wysokim poziomie, prawie graniczącym z cudownością.

Stosunki moje w pułku ułożyły się bardzo dobrze: cieszyłem się nawet pewnego rodzaju poważaniem, być może dlatego, że sztuka lekarska u ludów mongolskich jest zaliczana do najwyższych stopni mądrości. Z obowiązku służby raz do roku, zwykle w porze zimowej — dla ułatwionej wtedy komunikacji, odbywałem wycieczki inspekcyjne do sotni, rozlokowanych na granicy — mianowicie w

uroczyskach Barabaszu, Połtawce, Anuczynie, Kamieniu-Rybołowie i w wysuniętem najdalej na północ uroczysku Atamańskiem. Latem takie podróże są niemożliwe. Cała prowincja Ussurijska ma charakter górzysty: pasmo Sichote-Aliń z swojemi rozgałęzieniami rozsiadło się na całej powierzchni kraju — aż do wybrzeży morza Japońskiego. Środkiem, w kierunku południkowym, płynie na północ rzeka Ussuri, która wpada pod Chabarowskiem do Amuru, przyjmując z obu stron niezliczone dopływy, w postaci mniejszych lub większych zbiorników wody. Ogromne jezioro Chanka, mające około 60 wiorst długości i leżące z lewej strony, wylewa swą zawartość do Ussuri przez stosunkowo krótką lecz potężną rzekę Sungaczy. Ponieważ warunki klimatyczne miejscowe powodują największą ilość opadów atmosferycznych w miesiącach letnich, ogromne masy wody, staczające się w tej porze roku z gór do dolin, nie mogą mieścić się w rzekach i sprawiają powódzie na ogromnych przestrzeniach kraju. Jeden z geografów rosyjskich, podróżujących w dorzeczu Ussuri około r. 1860, podaje w swych sprawozdaniach wiadomość o deszczu miejscowym, padającym nieustannie w ciągu 45 dni, który to fakt obserwował osobiście. Podczas mojego pobytu w Nikolsku w r. 1896, w miesiącu lipcu rzeka Sufun, płynąca w odległości dwu kilometrów pod miastem, leżącym o trzy sążnie wyżej, zaczęła nagle wzbierać i w ciągu kilkunastu godzin zalała nie tylko dolinę ale i samo miasto, zostawiając w środku niewielką wysepkę. Po ulicach pływano łódkami. Słupy telegraficzne, biegnące w dolinie w kierunku Władywostoku, zniknęły pod wodą, tak, że specjaliści poszukiwacze musieli żerdziami określać ich stanowisko. Powódź była tak rozległa, że Władywostok otrzymał połączenie wodne z zatopionem miastem i przysłał statek parowy z delegatami administracji, by zbadać stan rzeczy na miejscu i dać stosowną pomoc. Nikolsk jest połączony traktem pocztowym,

mającym około 90 wiorst długości, z Kamieniem-Rybołowem, leżącym na północ na brzegu jeziora Chanka. Otóż przejeżdżając kilka razy pocztą po tym trakcie zimą, zauważyłem w kilku miejscach leżące obok wielkie łodzie, chociaż w pobliżu żadnej rzeki nie było. Na zapytanie, co to znaczy, odpowiadano, że łodzie te są przygotowane do przewożenia poczty po trakcie w czasie letnich powodzi.

Wszystkie góry i doliny w całym kraju są porośnięte gęstymi lasami, składającymi się z drzew liściastych i szpilkowych najrozmaitszych gatunków — z podszyciem z krzewów i wysokich traw, a zamieszkałymi przez zwierza w ogromnej mnogości: tygrysów, jeleni, łosiów, niedźwiedzi, dzików i innych przedstawicieli pomniejszych gatunków. Ludność właściwie mieści się w pobliżu kolei żelaznej, łączącej Władywostok z Chabarowskiem, i w wąskich dolinach większych rzek — Ussuri, Sungaczy, Sujfunu i kilku innych. Reszta kraju jest zupełnie bezludna. Na przestrzeni 400 wiorst od kolei do brzegów morza Japońskiego znajdują się góry i lasy mało zbadane i pełne niebezpieczeństw dla obcych przybyszów. Latem udają się w te strony wyprawy myśliwskie dla zdobycia futer, a także kompanje Chińczyków, poszukujących korzenia pokrzyku (żeń-szeń), posiadającego, jakoby, znakomite własności lecznicze. Bywa jednak dużo osób pomordowanych — z odebraniem łupem. Na granicy mandżurskiej, być może, jest trochę bezpieczniej, ponieważ istnieje tu szereg osiedli kozaków ussuryjskich, mających własne gospodarstwa. ¹⁾

Moje zimowe wycieczki odbywałem pocztą, gdzie znajdował się trakt, a w innych miejscowościach końmi, najętymi przez kozaków ussuryjskich,

¹⁾ Opis Nikolska, na tle ogólnej charakterystyki krain, umieściłem w czasopiśmie „Wojenno-Miedycynskij Żurnał“, wychodzącym w Petersburgu. Patrz roczn. za 1898 r., zeszyt sierpniowy.

k którzy chętnie dostarczali zaprzęgów osobom urzędowym za stosowną opłatę. Poza traktem pocztowym jechało się zwykle na przełaj — przez jakieś wąskie przesmyki pomiędzy górami, po lodzie jezior i rzek, pomiędzy wysokimi trawami i trzcinami, pozostałymi od przeszłego roku — to wspinając się na wzgórza, to opuszczając się w doliny i wąwozy, to mknąc przez ciemną a tajemniczą tajgę syberyjską, czasem natrafiając na pożar stepowy, który wznieca miejscowa ludność, aby przygotować grunt pod uprawę roli. Po godzin kilka albo i kilkanaście nie spotkało się ani osiedla ludzkiego, ani przechodzącego człowieka. Najtrudniej było dotrzeć do uroczyska Atamańskiego, które znajdowało się o 200 wiorst za Kamieniem-Rybołowem, w zupełnie odludnej miejscowości wśród wysokich gór, w wąskiej dolinie u zbiegu trzech rzeczek. Kilkunastu kozaków z oficerem na czele, na wzór eremitów, zamieszkiwało w tym zakątku, zupełnie odciętym od świata. Zmieniano ich po upływie roku. Przyjmowano więc tu przybysza, a zwłaszcza znajomego, z wielką radością i gościnnością i starano się zatrzymać go jak najdłużej. Inne uroczyska znajdowały się znacznie bliżej i posiadały znośniejsze warunki istnienia. Wspomniane wycieczki, jako źródła nieznanych dotąd wzruszeń, pozostawiły na długo miłe o sobie wspomnienia.

W Nikolsku, oprócz pułku kozackiego, znajdowały się także trzy pułki strzelców syberyjskich, brygada artylerji i sztab dowództwa wojsk prowincji Ussuryjskiej, na czele którego stał generał Mikołaj Liniewicz, Polak z pochodzenia, za czasów Mikołaja I wzięty do korpusu kadetów i tam przechrzczony i zrusyfikowany. W pułkach tych znaczna liczba oficerów i żołnierzy składała się z Polaków. Przed każdą Wielkanocą przyjeżdżał do Nikolska ksiądz z Władywostoku; — urządzano wtedy w wielkiej sali koszarowej czasową kaplicę, w której gromadziło się na nabożeństwo i spowiedź kilkaset osób. Z le-

karzy Polaków w Nikolsku zastąłem R. Błażejewskiego, Józefa Szlipsa, Grzybowskiiego i weterynarzy Brzozowskiiego i Kurcewicz. Piątym pułkiem Strzelców dowodził pułk. Rutkowski. Inny Rutkowski zajmował dość poważne stanowisko w intendenturze. W pułku kozackim w liczbie oficerów był tylko jeden Polak, setnik (porucznik) Rodkiewicz, późniejszy adjutant admirała Aleksiejewa w czasie wojny chińskiej w r. 1900.

W marcu 1898 r. powstały głuche wieści o mającej jakoby nastąpić wkrótce okupacji części terytorjum Chin. Stało się tak rzeczywiście. W Wielką Sobotę zrana pułk kozacki, dwa pułki strzelców i brygada artylerji otrzymały rozkaz wyruszenia natychmiast do Władywostoku. Już tej nocy spieszyliśmy koleją żelazną do miejsca przeznaczenia gdzie stanęliśmy wczesnym rankiem — w sam dzień Wielkiejnocy. Na drugi dzień, na dwu statkach „Tambowie“ i „Chabarowski“ puściliśmy się na morze, gdzie wkrótce spotkaliśmy się z pancernikiem „Rurykiem“, pod którego eskortą odbywaliśmy dalszą podróż. Na piąty dzień wpłynęliśmy na wody Portu Artura, jak się okazało, wydzierżawionego przez Chiny Rosji na czas dłuższy. Z początku nie chciano nas puszczać na ląd i dopiero po wymianie depesz z Pekinem, po kilkunastu godzinach, opuściliśmy nasze okręty. Lju-Szun-Kou (czyli Port Artura) leży na samym krańcu półwyspu, podobnego do krymskiego pod tym względem, że łączy się z dalszym lądem, w odległości 60 kilometrów na północ, wąskim przesmykiem, mającym zaledwie 7—8 klm. szerokości; — z jednej strony tego przesmyku mamy tu zatokę Koreańską, z drugiej — Pecylijską, — obie odnogi Morza Żółtego. Na brzegu pecylijskim leży dość duże miasto Kiń-Dzou, siedziba gubernatora chińskiego; na brzegu Koreańskim, nad zatoką, mającą około 15 kilom. szerokości i stanowiącą wspaniały port, znajduje się osada Ta-lien-wan. Pułk kozacki, po niedługim postoju w Porcie Artura, zo-

stał przesunięty do tej miejscowości, jako stałej siedziby, skąd miał rozsyłać patrole na granice strefy okupowanej, rozciągającej się jeszcze dalej ku północy o kilkadziesiąt kilometrów. Przybyliśmy do Talienwanu 1 maja i zajęliśmy koszary wojsk chińskich, opuszczone i podupadłe po zbombardowaniu i opanowaniu tej miejscowości w r. 1894 przez Japończyków, którzy stąd drogą lądową zajęli następnie port Artura. Oficerowie lokowali się, jak mogli, w lepszych budynkach mieściny, rekwirowanych bez ceremonji u Chińczyków. Moje mieszkanie wypadło na terytorjum buddyjskiej świątyni, zapewne w lokalu bonzów, których przedtem wyparowano. Był to długi pokój, oświetlony kratkowanymi oknami, zaklejonemi woskowanym papierem. Tuż obok stała mała świątynia, z posągiem Buddy na głównem miejscu i szeregiem ze stron obu innych bóstw o potwornych kształtach, niekiedy z ptasiami głowami. Budynki te, otoczone wysokim murem z jedną bramą wejściową, stały na wysokim cyplu nad samym brzegiem morza, ciągle szumiącego i burzącego się przy zmianie przyływów i odpływów, które osiągają tu wysokość kilku metrów i zalewają nawet część miasteczka. Na otaczających zatokę wzgórzach widniało kilka fortów, już zniszczonych podczas bombardowania i teraz zupełnie bezludnych. Kilka statków eskadry rosyjskiej stało w oddali na kotwicy.

W Talienwanie, oprócz kilkudziesięciu bylejakich domków chińskich, pozostało jeszcze kilka większych budynków, należących do dawnej administracji wojskowej, które przeszły niebawem, a mianowicie w czerwcu, we władanie przybyłych z Odesy dwóch pułków strzeleckich i szpitala polowego. Jednym z tych pułków dowodził pułk. Kajetan Dąbrowski. W liczbie lekarzy przybyło trzech Polaków: Kazimierz Żukowski, Mieczysław Orłowski i Leon Padlewski (obecnie profesor Uniwersytetu Poznańskiego). Również w tym miesiącu pozwoło-

no przyjechać rodzinom, które pozostały dotąd we Władywostoku i Nikolsku. Urządzili się więc wszyscy jako tako w szczupłych mieszkaniach, poprzerabianych na wzór europejski z chińskich „fanz“, w których poprzebijano okna, wstawiono szyby, układano podłogi i zaopatrywano w żelazne piecyki do ogrzewania w czasie zimy, która chociaż nie jest surowa, bo mrozy sięgają zaledwie 1 — 2 stopni, a śnieg po spadnięciu natychmiast ginie, to jednak bez ogrzewania mieszkań obejść się niepodobna. W miesiącach letnich panują tu tak nieznośne upały, że od 7-mej rana do 5-tej godziny wieczorem niebezpiecznie jest wychylać się poza ściany domu. Wskutek tego pułk. Putiłow, który, jako najstarszy szarż, pełnił funkcje szefa garnizonu, wydał rozkaz, aby wszelkie ćwiczenia wojskowe odbywały się bardzo wczesnym rankiem. Nawet i wtedy, asystując niekiedy tym ewolucjom w pełnym uniformie i uzbrojeniu, wbrew wszelkim regulaminom i tradycjom wojskowym, trzymał wciąż parasol nad głową, obawiając się porażenia słonecznego. Gorąco to przyczyniło się także do wybuchu epidemji duru brzuszego wśród wojska, która trwała aż do zimy. Jak się później dowiedziano ze źródeł japońskich, przyczyną tej epidemji było rozłokowanie żołnierzy w koszarach chińskich, które były znane oddawna jako ogniska zarazy, a których Japończycy unikali. Wyprowadzono więc wojsko w pole, do namiotów, w późnej już jesieni, poczem epidemja ustała.

Od czasu do czasu z lekarzem weterynaryjnym pułku oraz z jednym szeregowym kozakiem, samotrzeć odbywaliśmy konno wycieczki na północ — do posterunków, pilnujących granicy. Mieliśmy wtedy sposobność oglądać mur chiński, drogę mandaryńską, tysiącletnie piramidy strażnicze, złożone z głazów, pomniki przydrożne stojące na kamiennych żółwiach, wnętrza świątyń z ich bogami o straszliwych obliczach i inne osobliwości. Rzeczą szczególną, a dotychczas mi nieznaną, był widok dzwo-

nów, zawieszonych przy świątyniach buddyjskich, a odgrywających, widocznie, wielką rolę w tym kulcie. W czasie nabożeństwa buddyjskiego, które widziałem, przypominałem sobie czytaną niegdyś książkę misjonarza francuskiego Huc'a o podróży do Tybetu, w której autor czyni wzmiankę o niejakiem podobieństwie obrządków buddyjskich do obrządków katolickich. Otóż, przed posągiem Buddy, na podłużnym stole są zwykle umieszczane płonące świece z czerwonego wosku — obok nich dymią się osadzone w podstawkach cienkie patyczki, ulepione z kadzidła, wydające przyjemną woń. Trzech bonzów, ubranych w długie różnobarwne szaty, stojąc przed tym stołem, śpiewa na przemianę, lub jednocześnie, święte hymny, klękając od czasu do czasu i dotykając czołem podłogi. Niekiedy jeden z bonzów drewnianym młotkiem uderza o wiszący obok dzwon, najprzód powolnie, a później coraz prędzej — tak że nakoniec uderzenia następują po sobie nadzwyczajnie szybko, zapewne po kilkadziesiąt razy na minutę. W świątyniach tych widywałem także namalowane na ścianach obrazy męczarni, jakich doznają grzesznicy w piekle. Zupełnie te same kotły ze smołą, żelazne widły, lanie roztopionego ołowiu do gardła i inne czarcie psikusy, o jakich słyszeliśmy w dzieciństwie od naszych nianiek.

Stosunki z Chińczykami pozornie były przyjazne. Po wymianie wizyt urzędowych, gubernator miasta Kiń-Dżou, odległego o 7 kilometrów, zaprosił pułk. Putiłowa i inne osoby znaczniejsze do siebie w gościnę. Przyłączyłem się do jego świty, aby zobaczyć chińskie dziwy. Pojechaliśmy wszyscy konno w południe. Przed bramą miasta oczekiwał konwój honorowy, który, zobaczywszy zbliżający się orszak, zaczął strzelać na wiwat, puszczać race i inne ognie sztuczne. Wjchawszy do miasta, ujrzeliśmy po obu stronach drogi szpalery wojska z bronią, oraz tłumy publiczności, żadnej widzenia zamorskich gości (t. j. „djabłów“). Ponieważ dla tv-

lu osób w domu gubernatora nie było, widocznie, stosownej wielkości sali, przyjęto nas w kwadratowym wewnętrznym podwórzu, wyłożonem pięknym mozajkowym brukiem, a nad niem urządzone sztuczny sufit ze szkarłatnej jedwabnej materji, opierający się na bambusowych bardzo wysokich tykach. W głębi widniał podłużny stół dla dostojniejszych gości, za którym zasiadł sam gubernator, człowiek jeszcze młody — może trzydziestoletni; — bliżej zaś ustawiono symetrycznie około dziesięciu kwadratowych stolików, na 8 osób każdy, dla reszty towarzystwa. Przy każdym takim stoliku, oprócz gości, siedziało po dwóch Chińczyków, goszczących i zabawiających cudzoziemców. Nad wejściem na ten dziedziniec — od strony ulicy — w lekkim pawilonie na czterech słupach, pokrytym pogiętym dachem ze smokami, a który był właściwie widownią teatralną, znajdowała się orkiestra i trupa aktorów, którzy niezwłocznie zaczęli przedstawienie sztuk chińskich. Jak wiadomo, czerpią one treść z najdawniejszych bohaterских czasów Środkowego Imperjum i bywają odgrywane w stosownych do osób i czasu ubiorach. W tem fantastycznem otoczeniu obiad trwał godzin pięć. Podanych potraw i przysmaków naliczyłem 57. Po zakończeniu ceremonji odprowadzono nas równie uroczyście poza mury miasta.

Małe kółko polskie w Talienwanie łączyło się razem i podtrzymywało stosunki z Polakami w Porcie Artura i oficerami eskadry, stacjonowanej w obu portach. W ich liczbie znajdowali się lekarz Kazimierz Drzniewicz i lejtenant Kazimierz Porębski, późniejszy admirał marynarki polskiej. Jeden z oficerów Polaków w Talienwanie, amator muzyk, grywający na kornecie, miał zwyczaj na pomoście, wychodzącym daleko w morze („moło“), wykonywać swe ulubione melodje. Dziwne wrażenie sprawiały dźwięki poloneza Ogińskiego — „Pożegnanie Ojczyzny“, niezrozumiałe dla niepowołanych uszu,

rozlegające się nad brzegami Morza Żółtego wśród absolutnej ciszy letniego a późnego wieczora. 24-go grudnia tegoż roku, jednocześnie z wieczerzą wigilijną, obchodziliśmy stulecie urodzin Adama Mickiewicza, którego portret, otoczony wieńcem laurowym, widzieliśmy przed sobą na ścianie. Wkrótce po naszym przybyciu do Chin zaczęto budowę kolei mandżurskiej od Portu Artura, a także po drugiej stronie zatoki talienwańskiej miasta Dalnij, które przeszło później we władanie Japończyków pod nową nazwą — Dajren. Pobyt mój w Chinach trwał miesiący 16. Wcale niespodziewanie otrzymałem z Petersburga nową nominację na naczelnego lekarza szpitala wojskowego w Chabarowsku nad Amurem, dokąd w końcu lipca 1899 r. wyruszyłem na okręcie — przez Nagasaki i Władywostok. Przybyłem na miejsce 13 sierpnia.

V.

Pobyt w Chabarowsku odbywał się w zupełnie innych warunkach i otoczeniu. Było to centrum administracji całej prowincji, siedziba najwyższych władz krajowych i wojskowych. Generał — gubernatorem i dowódcą wojsk Okręgu był generał Grodekow, znany ze swej zaciętości i niezależności w sprawowaniu rządów. Na czele sanitarjatu wojskowego stanął nowoprzybyły z Włna inspektor okręgowy Piotr Szewielow, wielki nieprzyjaciel Polaków, a przytem człowiek nieużyty i suchy. Wkrótce po objęciu szpitala otrzymałem od generała Grodekowa list prywatno-urzędowy z prośbą (t. j. rozkazem) o przyjęcie stanowiska naczelnego lekarza Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia i Szpitala Czerwonego Krzyża w Chabarowsku. Na czele zarządu tych instytucyj, jako prezes, stał sam generał. Proponowana mi posada była honorowa, jednakże nie synekurą, bo wymagała dozoru nad licznym personelem sióstr i lekarzy. Przyjąłem naturalnie propozycję i tym sposobem wszedłem urzędowo w pewien bliższy stosunek z generał-gubernatorem i je-

go otoczeniem, tak teraźniejszym jak i jego następcami, którymi byli kolejno: Beniowski, Suboticz, Czajkowski, Leniewicz, Nadarow i Chreszczaticki. Oprócz tego zaproszono mię na wakujące posady lekarza szkolnego w 8-klasowym gimnazjum żeńskim i świeżo otworzonej szkole realnej. Wszedłem więc od razu in medias res, a także w bliższą znajomość i stosunki z całą biurokracją i arystokracją miejscową. A było tam ludzi ciekawych, z tego lub innego powodu, nie mało. Trzeba oddać sprawiedliwość gen. Grodekowowi, który cenił naukę, że popierał i skupiał pod swojemi rządami ludzi o ile można świątłych i wykształconych. Założył w Chabarowsku Bibliotekę Publiczną, Muzeum etnograficzno-przyrodnicze okazów miejscowych, należycie wyposażył wyżej wymienione szkoły i wybudował wszystkim tym zakładom własne i wspaniałe gmachy. W kancelarjach jego roiło się od urzędników z patentami uniwersyteckimi.

Dzień 12 stycznia, pod patronatem S. Tatjany, uchodzi w Rosji za święto uniwersyteckie. W dzień ten w Chabarowsku zwykle cała biurokracja z wyższym wykształceniem, prawnicy, lekarze, inżynierowie i t. d. urządzali wspólną biesiadę, dla uczczenia swoich lat młodzieńczych, poświęconych nauce. Naturalnie pito wiele, nie przeszkadzało to jednak prezesom różnych izb, w stopniu służbowym najwyższych radców i generałów, śpiewać po wielokroć z młodymi „gaudeamus igitur“, zapominając o swoich dostojnościach. Otóż rzeczy godną uwagi jest to, że uczestników tych uroczystości, w tak dalekiem mieście, zbierało się po sto kilkanaście osób. Grodekow, stary kawaler, wiódł samotny tryb życia w bardzo ograniczonym kółku i liczne towarzystwo nie lubił. Żadnych sprzeciwów nie znosił. Urzędników, którzy mu w czemkolwiek się narazili, wysyłał z kraju w 24 godziny, a osoby na wyższych stanowiskach usuwał w ten sposób, że kaso-

wał urzędy, które zajmowali, jako zupełnie zbyteczne. Bali się go też wszyscy niezmiernie.

Nastąpiły wkrótce czasy wielkiej doniosłości politycznej i społecznej, mianowicie wojny chińska i japońska. Będąc w pobliżu toczących się walk, szpital chabarowski był stale przepelniony i pracował w składzie po kilkakroć większym, niż czasu spokojnego. Z Rosji europejskiej do Chabarowska przybywało bardzo dużo lekarzy wojskowych, których tu segregowano i wysyłano do miejsc przeznaczenia. Z samej Warszawy przybyło ich około setki. Część pozostawała w Chabarowsku, w którym z biegiem czasu liczba szpitali polowych doszła do dwunastu, nie licząc trzech szpitali Czerwonego Krzyża. W miejscowym szpitalu miałem do pomocy kilkunastu ordynatorów. Z Polaków pracowali tu dłużej chirurdzy Emil Terlecki i Eugenjusz Lewenstern z Warszawy, kilku zaś innych przygodnie przez czas krótszy. Inspektor okręgowy Szewielow patrzył bardzo niechętnem okiem na to, że na czele szpitala stoi Polak — starał się więc o usunięcie mnie z tej posady, promując swojego ulubieńca (popowicza z grodzieńszczyzny). Zabiegi jego jednak na nic się nie przydały, ponieważ miałem poparcie generał-gubernatorów i Sztabu Wojskowego. Szewielowa ogólnie niecierpiano, jako człowieka fałszywego i niesprawiedliwego. W czasie wojny japońskiej zadarł on nieopatrznie z Generalnym Reprezentantem Czerwonego Krzyża na teatrze wojny, Sergjuszem Botkinem, synem znanego profesora. Botkin, straciwszy cierpliwość, wysłał depezę do Cesarzowej, prosząc o interwencję ponieważ Inspektor Okręgowy Nadamurski przeszkadza mu i tamuje działalność Czerwonego Krzyża. Gdy zawiadomiono o tem Ministra Wojny, powstało wielkie zamieszanie w Petersburgu, a tem bardziej w Chabarowsku, dokąd dano rozkaz o przywrócenie zakłóconego porządku. W miejscowych sferach wojskowych opowiadano z oburzeniem o następującym wy-

padku: pewien oficer, suchotnik, po kilku miesiącach pobytu na froncie został ewakuowany do Chabarowska, jako niezdolny do służby. Korzystając ze sposobności, udał się do Szewielowa osobiście, prosząc go o zupełne zwolnienie, ponieważ chce umrzeć w swoich miejscach rodzinnych. Szewielow odrzekł: „przecież Pan jeszcze chodzi; — nie widzę dostatecznego powodu do zwolnienia Pana; a czy Pan umrze na froncie, czy w innym miejscu, to nie stanowi różnicy“. Trochę później wykryły się jakieś nadużycia, polegające na tem, że Szewielow, na podstawie fałszywych informacji, pobrał pieniądze, które mu się nie należały. Wszystko to było przyczyną, że po ukończeniu wojny został zwolniony ze służby, z pominięciem pewnych przywilejów. Po paru latach, podobno, został zamordowany siekierą przez swego furmana.

Kolonja polska w Chabarowsku, zwłaszcza w czasie wojny, miała dość licznych przedstawicieli. Z wygnańców 1863 r. zastałem tu jeszcze trzech. Jeden z nich opowiadał o sobie następujące zdarzenie. Przed kilkunastu laty, jako stały mieszkaniec Chabarowska, cieszący się ogólnym szacunkiem, został wybrany do Rady Miejskiej i sprawował swój urząd z wielkiem powodzeniem. Pewnego dnia przychodzi do niego naczelnik policji i powiada: Bardzo przepraszam Pana, ale musimy go zamknąć w więzieniu na czas niejaki, bo wkrótce przez Chabarowsk będzie powracał z Japonji do kraju Następca tronu. A podług instrukcji, ze względu na bezpieczeństwo jego osoby, wszyscy „mianieźnicy“ muszą być bezwarunkowo izolowani. Tak się też stało. Po przejeździe Cesarzewicza, „mianieźnik“ został natychmiast zwolniony i powrócił na swoje stanowisko.

Ponieważ kościoła w Chabarowsku dotąd nie było, kolonja polska postanowiła go zbudować z własnych składek. Należałem do komitetu tej budowy. Najbardziej energiczni i ofiarni okazali

się kolejarze, którzy oprócz pieniędzy składali bu-
dulec, kamień, wykonywali roboty murarskie, stol-
arskie i inne. Mającą powstać parafię objął ks. Sta-
niław Ławrynowicz, wysłany na kraj świata po-
dobno za to, że dawał śluby unitom i chrzcił ich
dzieci. On też niemało przyczynił się do szybszego
zakończenia dzieła. Uroczyste poświęcenie kościo-
ła, przy udziale trzech księży, przybyłych z Włady-
wostoku, odbyło się 1 maja 1905 r. Osobna delegacja
zaprosiła na tę uroczystość generał-gubernatora
Chreszczatickiego i inne znaczniejsze osoby. Gu-
bernator w galowym uniformie przybył ze świtą
generałów i adjutantów jeszcze przed rozpoczęciem
nabożeństwa, przy którym asystował cały czas
wziąwszy udział w procesji naokoło kościoła po za-
kończeniu uroczystości. Dygnitarze ci na tackę ofia-
rowali kilkadziesiąt rubli. Proboszcz jedyne dotąd
kościółka we Władywostoku prawie nigdy nie był
na miejscu, z powodu ciągłych rozjazdów na ogrom-
nej przestrzeni swojej parafji, obejmującej kraj ussu-
ryjski, Sachalin i Mandżurję, gdzie spowiadał, lega-
lizował zawarte już związki, chrzczył kilkoletnie
dzieci, poświęcał groby pochowanych już dawno
nieboszczyków i t. d. I to tylko w miejscach, do
których mógł dotrzeć — gdzieindziej zaś całemi la-
tami księdza nie widywano. Utworzenie więc no-
wej parafji niewątpliwie przyczyniło się do polep-
szenia sytuacji.

Po ukończeniu wojny japońskiej, w następnym
1906 r., gdy miałem już poza sobą jedenaście lat
służby na Dalekim Wschodzie, postanowiłem po-
czynić starania o przeniesienie się do Europy. Otrzy-
mawszy więc urlop 6-miesięczny, udałem się do
Petersburga — do Głównego Zarządu Wojenno-Me-
dycznego — i tu osobiście meldowałem się u Głównego
Inspektora Jewdokimowa. Wysłuchał mnie przy-
chylnie i obiecał przeniesienie na równorzędne sta-
nowisko (t. j. lekarza dywizji lub większego szpitala)
w Rosji europejskiej, o czem miałem być zawiado-

miony w czasie właściwym. A było to w końcu lipca. Udałem się potem do stron rodzinnych, dokąd żona i dzieci przybyły już przedtem. Upłynęło jednak około czterech miesięcy, bliski już był koniec urlopu, a żadnej wiadomości nie otrzymywałem. W końcu listopada wybrałem się więc znowu do Petersburga, aby zbadać na miejscu przyczyny tej zwłoki. Naczelnik wydziału nominacyjnego oświadczył mi, że zaszły pewne okoliczności, które utrudniają rozstrzygnięcie sprawy w pożądanym dla mnie sensie. Mianowicie, otrzymano tam od Inspektora Szewielowa z Chabarowska bardzo niekorzystną charakterystykę mojej osoby pod względem służbowym. Natychmiast zrozumiałem, co to znaczy. Długoletnie doświadczenie nauczyło mnie, że zasada starożytnych: *verba volant, scripta manent* — posiada pierwszorzędne znaczenie w służbie rosyjskiej. W urzędowej korespondencji, czyto z władzami, czy z podległymi mi osobami, zawsze zaznaczałem, że pewna czynność już wykonana, czy dopiero zamierzona, opiera się na takim to punkcie prawa, lub osobistym rozkazie władz naczelnych, pod datą i liczbą taką, — a zatem co do jej potrzeby nie może być żadnej wątpliwości. W archiwum urzędowem odpisy tych dokumentów były starannie przechowywane na wszelki wypadek. Zamykałem nimi gębę władzom, które albo zapomniały o swoich poleceniach, albo chciały mi dokuzyć. Na zapytanie: dlaczego Pan to zrobił, albo tak postąpił? — odpowiadałem: na podstawie rozporządzenia W. Pana, pod datą i liczbą taką. W czasie siedmioletniej mojej służby w szpitalu Chabarowskim, otrzymałem, po inspekcji szpitala przez generał-gubernatorów, trzy podziękowania „za wzorowy porządek i należyte utrzymanie chorych“ — od generałów Czajkowskiego, Leniewicza i Nadarowa. Podziękowania te drukowano natychmiast w formie rozkazów dziennych Sztabu Okręgowego. Druki te naturalnie nabyłem i przechowywałem, jako anty-

dotum na czarną godzinę; — w podróży do Petersburga miałem je zawsze przy sobie. Otóż, po oznajmieniu mi przez urzędnika głównego Zarządu wyżej wymienionych wątpliwości, zamiast wdawać się w jakiegokolwiek rozprawy, sięgnąłem do kieszeni i wydobywszy dokumenty podałem je szefowi wydziału ze słowami: „może Pan będzie łaskaw przeczytać te druki“. — Po przeczytaniu na jego twarzy odbiło się ogromne zdziwienie. Poczem rzekł: „zmienia to zupełnie postać rzeczy. Proszę mi pozostawić te druki do zakomunikowania Głównemu Inspektorowi — i pofatygować się do nas jutro. Nazajutrz, przy widzeniu się, powiedział mi, że w Zarządzie Głównym są lekarze, którzy byli w Chabrowsku w czasie wojny; — zapytywał więc ich, co ma znaczyć ten wybryk Szewielowa. Odpowiadali, że jest to wynik osobistej niechęci do dra Kardaszewicza, o której wiadano powszechnie w Chabrowsku. Skierował mnie potem do Głównego Inspektora Jewdokimowa, który już został powiadomiony o powodach tej intrygi. Przyjął mnie tem uprzejmiej i rozkazał, abym w porozumieniu z szefem wydziału wybrał sobie stosowne miejsce w jednym z wakujących szpitali, na które natychmiast będę urzędowo mianowany. Szef ten uprzedził mię, że jako Polak, wakansów w gubernjach Zachodnich wybierać nie mogę; — poza niemi dał mi do wyboru szpital w Jarosławiu nad Wołgą, albo w Benderach w Besarabji. Wybrałem ostatni. Wskutek takiego obrotu okoliczności, po ukończeniu półrocznego urlopu, nie wracałem już do Chabrowska, ale pojechałem wprost do Bender, dokąd przybyłem 2 stycznia 1907 r.

VI.

Nad szumnym Dniestrem, w odległości jednego kilometra od właściwego miasta, wznosi się starożytna twierdza, zbudowana przez Genuńczyków, znana w historii pod nazwą Tyhin, zdobyta przez sułtana Solimana w r. 1535 i mianowana przez nie-

go Bender. W wieku XVI Turcy znacznie rozszerzyli terytorjum forteczne, otoczyli je wałem i głębokimi fosami, którym nadali formy bardziej nowożytne. Roboty te jeszcze bardziej uzupełnili Rosjanie po zaborze Besarabji w r. 1813. W fortecy tej przebywali w r. 1713, jako goście sułtańscy, król Stanisław Leszczyński i Stanisław Poniatowski (ojciec króla), kasztelan krakowski, — a w osadzie leżącej nad Dniestrem o trzy kilometry wyżej, zwanej Warnicą, po klęsce Połtawskiej bawił czas dłuższy król szwedzki Karol XII. Tuż obok, w niewiadomym obecnie miejscu, pochowany został hetman Mazepa. W benderskiej fortecy, w czasie mojego przybycia, były rozlokowane, z wojsk Okręgu Odeskiego, jeden pułk piechoty, jeden pułk rezerwowy, składy amunicyjne, zarząd inżynierji i szpital wojskowy. Forteca ta straciła już wtedy znaczenie obronne.

Po atmosferze dość liberalnej Dalekiego Wschodu zapachniało w tej Besarabji „rusским духом“. Były to czasy „czarnych sotni“, rozpleniających się szczególnie bujnie w ojczyźnie rdzennego obywatela Mołdawji, Włodzimierza Puryszkiwicza. Jak się wkrótce okazało, do tej ligi należała całkowicie administracja (nie lekarska) szpitala, w osobach pułkownika Krysztopenki i jego pomocnika rotmistrza Szebłowińskiego, zarządzającego gospodarką szpitala. Ten za jakieś podejrzanę sprawę sądem oficerskim został wydalony z pułku kawalerji i wpisany do rezerwy. Jednakże, podług ustaw rosyjskich, podobne indywidua mogły zajmować posady urzędników cywilnych w rozmaitych instytucjach wojskowych, stojących poza wojskiem polowem. Rotmistrz więc dostał się do szpitala i tu zaczął na nowo swe tajemnicze operacje i konszachty z dostawcami i kupcami, żerującemi razem z nim na tej dobroczynnej glebie. Pułkownik nie tylko nie sprzeciwiał się tej robocie, ale tolerował ją, znajdując, widocznie, w tem swój własny pożytek. Po

sprawdzeniu kilkakrotnie rachunków i wydatków szpitala, na usprawiedliwienie których brakowało należytych dokumentów i kwitów, zaprzestałem kłaść swój podpis na sprawozdaniach miesięcznych o gospodarce szpitala, które były wysyłane do kontroli do urzędów odeskich. Szły więc tylko z podpisem pułkownika i rotmistrza. Gdy się rzecz wyjaśniła przez korespondencję urzędową, zaczęto przysyłać komisje rozjemcze, które właściwie do niczego doprowadzić nie mogły, ponieważ sami rewizorzy, gdy się rozejrzeli w dokumentach i aktach szpitalnych, nie chcieli brać odpowiedzialności za stwierdzenie prawidłowości rachunków. Obaj panowie oficerowie, jako znani patrioci, mieli mocne plecy w Odesie; — rzecz się więc ciągnęła tym trybem jeszcze kilkanaście miesięcy. Nakoniec, aby mię zahaczyć na dość śliskim gruncie, pułkownik i rotmistrz wystosowali do mnie pewnego pięknego poranka pismo urzędowe z zapytaniem, dlaczego nie bywam na nabożeństwach cierkiewnych w dni świąt dworskich. Według ustaw obowiązani byli bywać na tych modłach oficerowie i urzędnicy „wolni od zajęć służbowych“. Oczywiście, szpitale wojskowe były czynne w ciągu całego roku, nie wyłączając nawet świąt najuroczystszych, jak Wielkanoc i Boże Narodzenie; — lekarze więc nigdy nie bywali na tych nabożeństwach urzędowych, o co nikt nigdy nie miał do nich pretensji. Odpowiedziałem więc na piśmie, że nie bywam dlatego, że jestem zajęty służbą (co jest przewidziane regulaminem), — a po wtóre, że nawet gdybym chciał bywać, to mi w tem przeszkadza sam pułkownik, jak to może sam stwierdzić, przeczytawszy swój rozkaz z dnia takiego, pod liczbą taką. Rzeczywiście, pułkownik był o tyle nieostrożny, że zarządził, aby w dzień 200-setnej rocznicy zwycięstwa pod Połtawą, obchodzonej bardzo uroczyście w r. 1909, komisja pod mojem przewodnictwem, o godzinie 12 w południe, zajęła się przyjęciem jednego sażnia drew od do-

stawcy Bermana. Po tej mojej odpowiedzi zaległa głucha cisza, a nawet przysłano z Odesy generała Putiatę, aby nas pogodzić.

Wkrótce potem pułk. Krysztopenko został niespodziewanie wezwany do Odesy i tam oddany pod sąd za jakieś nadużycia, czynione jeszcze w czasie wojny japońskiej, a niedawno wykryte. Starania przyjaciół zredukowały mu karę tylko do aresztu kilkumiesięcznego, ale miałem tę pociechę, że do Bender już nie wrócił. W roku 1910 wszystkie szpitale wojskowe zostały poddane władzy lekarzy naczelnych, a urząd tak zwanych „naczelników“, którymi byli oficerowie liniowi, zupełnie skasowano. Oczekiwano tej reformy już oddawna, ale sprawę zawsze przewlekano, ponieważ liczni „naczelnicy“ — na obszarze całej Rosji — nie chcieli rozstawać się z łatwym źródłem nielegalnych dochodów, płynącym ze szpitali i gorąco protestowali przeciw oddaniu władzy lekarzom. Rotmistrz, straciwszy grunt pod nogami, spokorniał, ale nie miał tyle rozsądku, aby zaprzestać swoich praktyk. *Consuetudo est altera natura*. A może był dufny w siłę swoich protektorów. Prosiłem stanowczo o usunięcie tego szkodnika. Dopiero w końcu 1913 r. zwolniono go na podstawie orzeczenia komisji kwalifikacyjnej, urzędującej przy Sztabie Okręgowym. Decyzja ta została zatwierdzona przez Dowódcę Wojska i generał-gubernatora Odesy. Zanim wygotowano wszystkie dokumenty, potrzebne do dymisji rotmistrza, przeszło jeszcze parę miesięcy. Na początku 1914 r. otrzymałem, pod moim adresem, pismo Sztabu Głównego z Petersburga z nadpisem „tajne“. Otworzywszy kopertę, przeczytałem z wielkim zdziwieniem, co następuje: „Pan minister Wojsk, rozpatrzywszy skargę rotmistrza Szewłowińskiego na naczelnego lekarza Szpitala w Benderach, Radcę Stanu Kardaszewicza, w której zarzuca mu niesprawiedliwą kwalifikację służbową, opartą na powodach politycznych, nie rzeczowych, — rozkazuje po-

mienionego rotmistrza zwolnić ze służby w ciągu 21 godzin. O czem podaje się W. Panu do wiadomości i wykonania“.

Nastąpiła wojna wszechświatowa, o której, jako nam bliskiej i powszechnie znanej, nie będę się rozpisywał. Szpital trzymał się jako tako do rewolucji 1917 roku. Nastąpiło po niej ogólne rozprężenie, upadek wszelkiej władzy i panowanie „komitetów“. W marcu Polacy benderscy i zbiegowie z Królestwa Polskiego, których zebrano się kilkaset osób, zjednoczywszy się wspólnie, założyli „Dom Polski“. Miałem zaszczyt być obranym na prezesa tego związku. Wynajawszy dom klubowy, urządziliśmy w nim bibliotekę i czytelnię z książek, przechowywanych dotąd przy kościele parafjalnym, i zorganizowaliśmy zebrania wspólne i pogadanki. Z początku panowała zupełna zgoda i jedność myśli, ponieważ staliśmy na gruncie ściśle narodowym; powoli jednak zaczęły się wciskać do stowarzyszenia ze strony podejrzane jednostki z hasłami demagogicznymi i skrajnymi, którym chodziło o rozbięcie jedności i objęcie kierownictwa. Powtórzyła się no raz tysięczny znana już wszystkim metoda działania. Nie byłem jednak świadkiem dalszego przebiegu tej walki, ponieważ w końcu kwietnia otrzymałem nominację, podpisaną przez ministra wojny Guczkowa, na lekarza naczelnego Korpusu Komunikacyj Wojennych na froncie rumuńskim, którego sztab znajdował się w Odesie.

Korpus ten liczył kilkadziesiąt tysięcy ludzi służby pomocniczej w postaci batalionów kolejowych, formacyj saperskich, brygad roboczych, parków telegraficznych i telefonicznych i t. d., rozrzuconych na całej linii frontu. — na jego tyłach. Po zameldowaniu się szefowi Korpusu, generałowi Kołpakowowi, pozostałem przy jego sztabie, jako kierownik służby sanitarnej całego korpusu. Odrazu było widać, że jedność i spójność administracji zupełnie się rozluźniła. Służba szła chaotycznie wobec nie-

pewnego jutra. W następnych miesiącach Odesa przechodziła kolejno do rąk Ukraińców, bolszewików, Niemców, Austriaków — i odwrotnie, przyczem następowała zmiana władz naczelnych. W lutym 1918 r., po zbombardowaniu i wzięciu miasta przez bolszewików, sztab naszego Korpusu został zupełnie zdemolowany, a wszystkie urzędy rozproszone. Bolszewicy wydali mi jednak moje dokumenty, które cudem ocalały i przydzielili tymczasem do Okręgowego Zarządu Wojenno-Medycznego. W połowie kwietnia, mając już 38½ lat służby wojskowej, a zatem więcej, niż potrzeba do zupełnej emerytury, prosiłem Zarząd o zupełne zwolnienie ze służby. Otrzymałem więc dymisję z zachowaniem wszelkich formalności.

Zaraz po przybyciu do Odesy wstąpiłem do Związku Wojskowych Polaków, na czele którego stał generał Piotr Koreywo, sędzia wojskowy. Bywałem na posiedzeniach tego Związku i znam wszystkie modyfikacje i ewolucje, przez które przechodził. Jak wszędzie szła walka o wpływy pomiędzy prawicą i lewicą. Bardzo mię raziły wystąpienia socjalistów i propaganda pomiędzy żołnierstwem, usiłująca wszelkimi sposobami przeszkodzić formowaniu samoistnych oddziałów polskich, pod pretekstem, jakoby oddziały te miały na celu obronę burżuazji — na szkodę klas pracujących. Przysyłano nawet specjalnych delegatów od skrajnej lewicy z Petersburga, aby skłonić Związek Odeski do wspólnej z nią akcji. Na szczęście, to się nie udało. Wyniki są wiadome: z 700.000 Polaków, będących w armji rosyjskiej, zaledwie kilkadziesiąt tysięcy stanęło pod sztandary narodowe; — nic więc dziwnego, że garstka ta musiała ulegać przemocy wroga, czyto w Odesie, czy pod Kaniowem, czy w Bobrujsku, czy w innych jeszcze miejscach. W Odesie, w lutym 1918 r. powstał oddział polski pod dowództwem kapitana Stanisława Skrzyńskiego, składający się z kilku tysięcy żołnierzy wszelkiej

bronii, dobrze uzbrojony i zaopatrzony. Byłem w nim szefem sanitarnym. Skończyło się na tem, że wskutek tajnych knowań Niemców, Austriaków i Ukraińców oddział ten 20 kwietnia został zlikwidowany dobrowolnie, aby nie wpaść w ręce dywizji węgierskiej, która miała rozkaz rozbrojenia oddziału w czasie przewożenia go koleją żelazną na Podole. Pisać szczegółowo o tych rzeczach jeszcze nie pora.

W tydzień po rozbrojeniu oddziału, razem z synem moim Stanisławem, podporucznikiem-artyle-rzystą, pozostawiwszy rodzinę w Odesie na los szczęścia, udałem się koleją do Kijowa, aby przedrzeć się do Bobrujska — do Korpusu Gen. Dowbora-Muśnickiego. W Kijowie, w związku wojskowych Polaków, powiedziano nam, że dalsza podróż koleją jest niemożliwa, wskutek opanowania i zniszczenia przez bolszewików. Radzono drogę wodną. Tegoż dnia jeszcze ruszyliśmy parostatkami po Dnieprze, w towarzystwie żołnierstwa, zbiegłego z frontu i gromady Żydów agitatorów, wygłaszających nieustannie podniecające przemówienia. W Łojowie ledwo nie wpadliśmy w ręce niemieckiego garnizonu, który trzymał tam straż i dawał baczną uwagę na podróżujących wodą. Uniknęliśmy jednak tego, przesiadłszy się na inny statek, kursujący po Berezynie. Po tygodniu drogi, 4 maja, nareszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie nas natychmiast wpisano do rejestrow. Syn pozostał w Bobrujsku, a mnie po kilku dniach wysłano do Rohaczewa nad Dnieprem, jako naczelnego lekarza szpitala 3-ej dywizji strzelców generała Iwaszkiewicza.

Dalsze dzieje Korpusu są powszechnie wiadome. 2 lipca wyjeżdżaliśmy z Bobrujska w kierunku Warszawy, w pociągu eskortowanym przez Niemców. Przybyliśmy na miejsce 4 lipca o godzinie 7 wieczorem. Niemcy jednak zatrzymali pociąg opodal od Warszawy aż do godziny 4 zrana — i dopiero nocą przywieźli na dworzec (obecnie gdański).

Stamtąd luźnymi grupkami rozproszyliśmy się po mieście¹⁾.

Dalsze dzieje opiszę w kilkudziesięciu słowach. 1 września 1918 r. zostałem przyjęty, jako referent, do Sekcji opieki nad inwalidami, stanowiącej jeden z wydziałów „Komisji Wojskowej“, na czele której stali ks. Radziwiłł i pułk. Januszajtis. Po wskrzeszeniu Państwa Polskiego zatwierdzono mię na tem stanowisku rozkazem dziennym P. Ministra Spraw Wojskowych, gen. Wroczyńskiego, dnia 25 stycznia 1919 r. pod L. 24. Dekretem P. Naczelnika Państwa 21 sierpnia tegoż roku zostałem przyjęty do rezerwy W. P. jako generał-podporucznik. Naskutek żądania prof. Zdzisława Dmochowskiego, Szefa Wojskowego Instytutu Sanitarnego, dnia 1 czerwca 1921 r. przeniesiono mię na stanowisko bibliotekaza tegoż Instytutu. Dn. 15 lipca 1922 r. gen. Sosnkowski. Min. Spr. Wojskowych, nadał mi „Krzyż Walecznych“ -- za służbę w formacjach wschodnich. D. 31 grudnia 1924 r. zostałem zwolniony na emeryturę, z prawem noszenia munduru W. P., o czem ogłoszono w Dzienniku Personalnym 12 listopada 1924 r. pod L. 120. Przesłużyłem w W. P. lat sześć, co z latami poprzedniej służby w armii rosyjskiej stanowi w sumie lat czterdzieści pięć i kilka miesięcy.

Zabawiając się od czasu do czasu piórem, artykuły moje, przeważnie z historii medycyny, umieszczałem w „Lekarzu Wojskowym“ i w „Archiwum Historji i Filozofji Medycyny“, wychodzącym w Poznaniu.

Incidit in Scyllam, qui vult vitare Charybdim — słowa te w pełnej mierze mogą być stosowane do ciernistej drogi Polaków, którym los nadarzył pozostawienie

¹⁾ W Korpusie gen. Dowbora-Muśnickiego było czterech Kardaszewiczów: ja, mój syn Stanisław i dwaj bratankowie — Kazimierz i Jerzy — wszyscy podporucznicy. Ci trzej, po rozwiązaniu Korpusu, przeszli do oddziałów pułk. Żeligowskiego na Kaukazie.

stawać w służbie rosyjskiej, lub wchodzić w bliższe stosunki ze społeczeństwem tego Państwa. Bardzo rzadko komukolwiek, na wzór Odyssa, udawało się bez szwanku wychodzić z zasadzek i niebezpieczeństw, grożących na każdym miejscu i w każdym czasie. Przejścia te jednak, jako materiał do historii pokoleń popowstańowych, nie powinny być zapomniane. Zwłaszcza przez nowożytnych Polaków, dla których dzieje ich ojców i dziadów mogą stać się tylko mglistą legendą, lub nawet zagaść w otchłani niepamięci.

Warszawa, 1927—28 r.

**Biblioteka Główna
WUM**

Biblioteka Główna WUM

KS.1269



210000001269



www.dlibra.wum.edu.pl